

TYGODNIK
 WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 4-10 V 1989 R.

NR 16

CENA 70 Zł

DOTYK

Waldemar Piasecki
 Leszek Wiśniewski

W PONIEDZIAŁEK, 17 kwietnia 1989 roku o godzinie piątej rano w Lublinie leje deszcz. Jest zimno, wietrznie. Pogoda przytłacza, irytuje i na pewno nie zachęca do wychodzenia z domu. Mimo to wzdłuż ulicy Piekarskiej ustawiają się szeregi ludzi. Wielu nie opuszcza parkujących samochodów o rejestracjach z odległych województw. Podjeżdżają karetki pogotowia i taksówki. Młodzi ludzie w harcerskich pelerynach sprawnie kierują ruchem ludzi i pojazdów. Wszystko jest dobrze obmyślane. „Korytarz” prowadzący do celu jest olinowany, a co kilkadziesiąt metrów ustawione punkty kontrolne. Zadbano o tablice informacyjne z wypisanymi godzinami oraz symbolami sektorów. Pierwsza grupa ludzi zostanie wpuszczona do „korytarza” o godzinie 8.00 i

Ciąg dalszy na str. 4



Fot. Waldemar Stępień

W LUBLINIE swoiste prawa obywatelskie zdobyły słowa: nie da się. Pokrywana nimi bywa niekompetencja, prywatność, gnuśność. I to w każdym obszarze życia. Na łamach „Relacji” „podpalili” chcemy taki Lublin — brudny, zapyziały, niezyczliwy sobie i innym. A przy tym nie potrafiący skorzystać z szansy otrzymanej w spuściznie od minionych pokoleń, nie budujący też tej szansy tym, którzy przyjdą po nas.

Jedną z następnych dyskusji poświęcimy psychospołecznemu wizerunkowi mieszkańca Lublina, dziś rozmawiamy o jego środowisku: sylwecie urbanistycznej i kształcie architektonicznym miasta, całej materii otaczającej 380-tysięczną lubelską społeczność. Przy redakcyjnym stole zasiadli: geograf i ekonomista, prodziekan Wydziału Ekonomicznego UMCS doc. dr hab. URSZULA WICH, architekt, generalny projektant

ds. Starego Miasta JACEK GURBIEL, dyrektor Teatru Lalki i Aktora TOMASZ JAWORSKI, plastyk JERZY KOSTKA, prezydent m. Lublina ED-

gierności i skąpców. Wskazywaliśmy co nas drażni w Lublinie, co powoduje, że Lublin lat ostatnich ulega degradacji.

U. Wich: — Czy Lublin zaspakaja ambicje? Moich nie! Ale wielokrotnie, także oficjal-

ci wiejskiej. Czy Lublin mógł decydować o sobie? Nie, gdyż zaraz po II wojnie światowej włączony został w system planowania centralnego. Uważano wówczas, a i jeszcze potem przez długie lata, że

domy budowano na obrzeżach miasta, w ruinę popadało centrum, w którym zaczęło przybywać slumsów.

T. Sobieszek: — W spadku po poprzednich pokoleniach otrzymaliśmy miasto z unikal-

PANEL „RELACJI”

PALIMY LUBLIN

WARD LEŃCZUK, krajoznawca i przewodnik TADEUSZ SOBIESZEK. „Relacje” reprezentowali: Zbigniew Miazga i Franciszek Piątkowski.

RELACJE: — Podstawowe pytanie w interesującej nas kwestii brzmiało: czy Lublin zaspokaja nasze, jego mieszkańców, ambicje i oczekiwania? Warto chyba jednak zacząć od portretu miasta, jego kształtu urbanistycznego i architektonicznego, występujących w tym obszarze nielo-

nie, wysłuchiwałam głosów samozadowolenia. Więc i w tym przypadku wiele zależy od „punktu siedzenia”.

Dzisiejszy Lublin, choć dziesiąte miasto w Polsce, a największe po prawej stronie Wisły, niewiele znaczy na mapie kraju. Mimo że jest siedzibą pięciu wyższych uczelni, kilku teatrów i placówek kulturalnych, nie przejął — a takie były aspiracje — funkcji Lwowa, choćby dla wschodnich obszarów kraju. Miasto rozwijało się głównie ilościowo, przede wszystkim w związku z napływem ludności

głównym nośnikiem rozwoju jest przemysł. Toteż ulokowano w Lublinie Fabrykę Samochodów Ciężarowych, niedawnymi czasy Zakłady Metalurgiczne oraz parę pomniejszych. Wbrew teoretykom, inwestycje te nie były aż tak miastotwórcze, prowadziły zaś do skażeń i degradacji. Odgórnie także zadecydowano o podziale na strefy: mieszkaniową, administracyjną i przemysłową. Doprowadziło to do rozpadu przestrzeni miejskiej, rozbitej na wielkie obszary. Z darmową ziemią nie liczył się przemysł,

na architekturą, świadcząca o krzyżowaniu się tu kultur Wschodu i Zachodu, ale i o indywidualności naszych starych mistrzów. W niezmiennym niemal kształcie zachował się układ urbanistyczny Lublina, malowniczo rozlokowanego na wzgórzach. Przepiękny krajobraz, liczne pamiątki przeszłości znaleźć można także tuż za bramami miasta. My jednak odwróciliśmy się plecami do tej spuścizny, postanowiliśmy natomiast zrobić z Lublina ośrodek przemysłowy. Co z tego osta-

Dokończenie na str. 8—9

relacje ZE ŚWIATA

◆ **KLUCZOWYM PUNKTEM** pobytu Wojciecha Jaruzelskiego w Moskwie (27-28 kwietnia) było jego spotkanie z Michaiłem Gorbaczowem, podczas którego postanowiono m.in. urealnici współpracę gospodarczą między Związkiem Radzieckim a Polską, przyspieszyć wyświechtanie „białych plam” w historii stosunków między naszymi krajami, w tym sprawę Katynia.

Podpisany został również układ o przyjaźni i współpracy młodzieży obu krajów.

◆ **ŚWIATOWE AGENCJE** sensacyjnym nazwały przebieg ostatniego (25 kwietnia) plenum KC KPZR. Michaił Gorbaczow poinformował, że 110 członków najwyższych władz partyjnych, będących na emeryturze, zwróciło się z prośbą o zwolnienie z pełnionych funkcji. Wśród wymienionych było wiele nazwisk znanych z przeszłości. Są to m.in.: A. A. Gromyko, W. W. Kulikow, G. A. Aliejew, P. N. Diemiczew. Prośba została przyjęta. Z zastępców członków na członków KC przeniesiono 24 osoby. Tym samym skład najwyższych radzieckich władz partyjnych zmniejszył się prawie o 100 osób oraz uległ znacznemu odmłodzeniu.

◆ **PREZYDENT BUSH** podsumował pierwsze 100 dni swojego urzędowania w Białym Domu. Start ocenił jako dobry; podobnego zdania są obserwatorzy sceny politycznej, choć wskazują na „brak wyrazistości” obecnego prezydenta. Ale też — według zgodnych opinii — najtrudniejsze decyzje, dotyczące tak polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej, dopiero przed Bushem.

◆ **EKSPERT BANKU ŚWIATOWEGO**, dyrektor Departamentu Europy, po powrocie z Polski do Nowego Jorku powiedział przedstawicielowi PAP: „Polacy muszą zrozumieć, że reformowanie każdej gospodarki jest procesem bardzo długim i bolesnym. Kluczem do wszystkiego jest odbudowa w Polsce środków produkcji w szerokim tego słowa znaczeniu, zarówno ludzkich, jak i materialnych. Jako Bank Światowy — dodał — mamy projekty dotyczące proeksploatacyjnej produkcji przemysłowej, przemysłu rolno-spożywczego i energetyki. Kończymy opracowywanie projektów dotyczących transportu”.

◆ **RADA MINISTRÓW** spraw zagranicznych EWG podczas posiedzenia

w Luksemburgu zadeklarowała chęć szybkiego podpisania umowy o handlu i współpracy gospodarczej z Polską.

◆ **DELEGACJA TAJWAŃSKA** — pierwsza od 1949 r.! — przybędzie wkrótce do Chin. Wydarzenie to wiąże się z mającą wkrótce rozpocząć się sesją Azjatyckiego Banku Rozwoju. Czyżby początek końca wzajemnej izolacji?

◆ **CZAS TRWANIA SŁUŻBY** w Armii Radzieckiej został znacznie zredukowany, co w pierwszym rządzie dotyczy mężczyzn odbywających tę służbę po studiach.

◆ **MILION MAREK ZACHODNIO-NIEMIECKICH** obiecała wypłacić Izabela Trojanowska każdemu, kto dostarczy kopię filmu pornograficznego z jej udziałem. Od ogłoszenia tej oferty w „City Life” (zachodniobermberskie pismo polonijne, znane z wysokiego poziomu merytorycznego i edytorskiego) minęło sporo czasu, a amator miliona — jak dotąd — nie pojawił się. „Nie miałam miliona marek — powiedziała p. Iza — ale też nie ryzykowałam, gdyż, mimo plotek, nie ma takiego filmu”. I. Trojanowska mieszka obecnie w Berlinie Zach. (wraz z mężem); ostatnio otrzymała angaż do serialu „Alaska story” wg powieści J. Londona. Zagra w nim obok hollywoodzkiego gwiazdora Petera Fondy. Zdjęcia kręcone będą m.in. w ZSRR.

◆ **STARA** żołnierska piosenka o tym, „jak to było ładnie, kiedy do Lublina na karkach Moskali wjechał pan Belina”, nie jest wymierzona przeciw narodom radzieckim, ale odnosi się do zdarzeń z 30 lipca 1915 roku. Wówczas to właśnie — może nie tak całkiem „na karkach Moskali”, bo Rosjanie opuścili miasto właściwie bez walki — wkroczyły do Lublina oddziały I pułku ułanów (z I Brygady Legionów), którego dowódcą był Władysław Belina-Prażmowski.

W odróżnieniu od niechętnego czy obojętnego przyjęcia, jakie spotkało legionistów w Kieleckiem i Łódzkiem, lublinianie powitali ich entuzjastycznie. Tak to w każdym razie przedstawia Andrzej Strug w powieści „Odnaka za wierną służbę”, mającej formę pamiętnika młodego legionisty, którego szwadron „pierwszy ze wszystkich wojsk i po nieznacznej strzelaninie zajął Lublin”.

„Po raz pierwszy od początku tej wojny czuje człowiek, że jest w Polsce i że dla niej lba nadstawia, a nie dla najszlachetniejszego przywidzenia. Niech żyje ziemia lubelska! Gdybyż ci sami lublinianie wiedzieli, co my za wdzięczność czujemy dla nich za ich serdeczne, polskie powitanie i przyjęcie!... Przed magistratem i przed cudną, starą bramą Krakowską obiegli nas rozentuzjzmowani patrioci. Mowy, okrzyki, uściski, kwiaty, pa-

— Po roku znów gościł pan w kraju, a tłumy, jakie zgromadziły się przed księgarnią „Czytelnia” na Wiejskiej, nie pozostały chyba złudzeń, że jest pan gościem mile widzianym...

— Od kiedy jesteście na „pan”? I od kiedy jestem gościem w mojej ojczyźnie? Po co mnie denerwujesz? Nie bardzo też rozumiem tego „znów”. Czy chodzi o to, że może za często bywam w Polsce? Bywam w moim kraju, odkąd mi zaczęto wydawać do niego wizy. Przedtem nie mogłem przybyć nawet na pogrzeb mojej matki, który z konieczności musiała przygotować matka Jurka Urbana. Bo syn „zagrażał”, nawet idący za trumną, za którą iść nie mógł.

— Trzeba było nie pisać „Malowanego ptaka”...

— Trzeba się było nie urodzić, trzeba było nie przeżyć wojny, trzeba się było nie uczyć pisać, Kosiński. Znam te recenzje.

— Czy mam rozumieć, że potwierdzasz w ten sposób, iż powieść ma charakter biograficzny, a więc jest związana z Polską?

— Niczego takiego nie powiedziałem. Przeżyłem wojnę, będąc ukrywanym w różnych miejscach i przez różnych ludzi. Jestem w stanie rozumieć sens psychologicznej sytuacji sześciolatniego dziecka w obliczu totalnego i ostatecznego zagrożenia. Wcale to jednak nie znaczy, że w „Malowanym ptaku” opisuję swoje przeżycia. Co mi wmawiano, a do czego naprawdę nie chcę już wracać.

— Dlaczego napisałeś „Malowanego ptaka”? Czy też może: jak doszedłeś do napisania?

— W 1962 roku matka przysłała mi z Łodzi książkę „Dzieci polskie oskarżają” (Warszawa 1961, Instytut Wydawniczy PAX). Współautorami byli Józef Wnuk (część I: „Dokumenty zbrodni hitlerowskiej”) i Helena Radomska-Strzemecka (część II: „Okupacja w oczach młodzieży”). Przeczytałem tę książkę jednym tchem i nie mogłem się otrząsnąć z obezwładniającego wrażenia. Dzieci polskie mówiły o horrendum, w jakim żyły za sprawą oblakowanego reżysera historii Adolfa Hitlera. Zapis był wstrząsający, ale faktograficznie jakby „za spokojny”. Były opisy zbrodni: zabijanie, katowanie, łapanie, wywożenie, eksperymenty na dzieciach, lecz „brakowało” mi bezmiaru zbrodni psychologicznej, jaka się dokonała na i w umysłach dzieci. Deformacja psychiczna, towarzysząca temu zalewowi zła, okrucieństwa i bezsensu, wydała mi się szczególnie perwersyjnym i podstępny rodzajem zbrodni zadanej dzieciom.

I właśnie te dzieci, polskie oskarżające dzieci powiedział mi, polskiemu dziecku (bo przecież z Łodzi, a to zawsze było polskie miasto) choć, nie ma kwestii, wywodzącemu się z Weinreichów i Lewinkopów, ale noszącemu nazwisko Kosiński (bo tak jego rodzina identyfikowała się z polską ojczyzną): „Jerzy, musisz napisać. Bo chyba jeszcze nie zapomniałeś o nas i o sobie”. Czy mogłem im odmówić?

Długo zastanawiałem się, jaką wybrać metodę obrazowania. Zdecydowałem się na spotęgowanie, podniesienie

relacje Z KRAJU

◆ **KAMPANIA WYBORCZA** do Sejmu i Senatu nabiera rozmachu i niespotykanych dotąd barw. Kandydaci na posłów i senatorów, nierzadko wspierani przez „sztaby wyborcze”, kompletują podpisy 3000 wyborców, prezentują programy. Te ostatnie odciągają od sztampy poprzednich kampanii, ale też — na ogół — bliższe są naszej rzeczywistości. A wszystko to odbywa się nie tylko w czterech ścianach sal konferencyjnych czy podczas masówek, lecz również w trakcie imprez czy wręcz na ulicy. Ważne, iż działalność ta prowadzona jest za pieniądze wyłożone przez partie, grupy środowiskowe oraz samych kandydatów.

Przypomnijmy, że w Sejmie zasiądzie, jak dotąd, 460 posłów. Nie zostaną oni wybrani w pełni demokratycznie. Zgodnie z umową sformułowaną również przy „okrągłym stole”, o 60 proc. miejsc będą ubiegali się reprezentanci koalicji rządowej (PZPR, ZSL, SD); 5 proc. przeznaczonych jest dla organizacji katolików, a pozostałe 35 proc. dla bezpartyjnych. Tę ostatnią pulę „Solidarności” traktuje jako swoją domenę; Komitet Obywatelski na wszystkie 161 poselskich mandatów zamierza wyznaczyć kandydatów, przygotowując listę centralną.

Natomiast podział mandatów senatorskich nie jest oparty o żadną umowę; ustalono, iż każde województwo będzie reprezentowane przez 2 senatorów (tylko stołeczne i katowickie uzyskały po 3 miejsca). A więc do uzyska-

nia mandatu senatorskiego w woj. chełmskim może wystarczyć kilkadziesiąt tysięcy głosów, natomiast w katowickim „przepaść” można z 1,5 mln wiemych wyborców.

◆ **PIERWSZOMAJOWE ŚWIĘTO** zyskało w tym roku na naturalności. Odpadł przymus obowiązkowego defilowania. Podczas wieców i spotkań mniej było o polityce, a więcej o okolicznościach pracy towarzyszących. Mimo nie najlepszej pogody odbyły się liczne imprezy kulturalne i sportowe — rekreacyjne. Niektóre z nich stały się wstępem do zainaugurowanych właśnie Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy.

◆ **W SĄDZIE WOJEWÓDZKIM** w Warszawie odbyło się — przy drzwiach zamkniętych — postępowanie wyjaśniające, dotyczące rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Zasadniczo chodziło o dwie sprawy: punkt mówiący o prawie do strajku oraz dostosowanie statutu do nowego prawa o stowarzyszeniach. Kwestie te przedstawione zostaną pod dyskusję uczestnikom zjazdu NZZ, który odbędzie się 6 maja w Gdańsku.

◆ **W PRZELICZENIU** na 1 hektar wydatki rolników są o ok. 70 tys. zł wyższe niż przed rokiem. Dochody mieszkańców wsi rosną wolniej od dynamiki płac w gospodarce pozarolniczej.

◆ **KOMITET EKONOMICZNY** Rady Ministrów w połowie maja podjął ma-

energetyki jądrowej w Polsce do 2000 r., a tym samym w sprawie budowy elektrowni w Chotczy.

◆ **NIEDOBORY BENZYNY**, dotkliwe dające o sobie znać od kilku tygodni, uzupełnione mają być interwencyjnymi zakupami w NRD, Austrii i Szwecji.

◆ **RADA MINISTRÓW** ustaliła nową wysokość kredytów dla młodych małżeństw. Zasada: przeciętna płaca mnożona jest razy 20, co daje około 1 miliona złotych kredytu (dotychczas 300 tys. zł). Spłata pożyczki rozłożona będzie na 5 lat, z wysokością odsetek — 44 proc.

◆ **DUŃSCY RYBACY** nagminnie dokonują połowów w polskiej strefie rybołówstwa. Niejednokrotnie już interweniowały — odsłaniając nawet lufy dział — okręty Polskiej Marynarki Wojennej. Ostatnio załoga duńskiego kutra porwała inspektora Urzędu Morskiego i towarzyszącego mu marynarza, którzy weszli na pokład tej jednostki i podjęli próbę zaareztowania kłusownika. Po kilkugodzinnym pobyciu w Nexo (Bornholm) Polacy odwiezieni zostali przez okręt duńskiej marynarki wojennej na pokład macierzystej jednostki. Gra o rybę w wydaniu Duńczyków przypomina, jak dotąd, dziecięcą „grę na nosie”.

◆ **ZGODNIE Z POROZUMIENIEM „OKRĄGŁEGO STOŁU”** w Polskim Radio pojawiła się 28 kwietnia — niedostatecznie jednak zapowiedziana — pierwsza audycja „Solidarności”.

◆ **WARSZAWSCY CELNICY** wykryli w 7 paczkach adresowanych do Izraela kilkadziesiąt dzieł sztuki — przedmioty liturgii katolickiej i judaika. Wartość samego kruszcu wynosi ponad 30 mln zł.

relacje Z REGIONU

◆ **W NAJBLIŻSZYCH DNIACH** rozpoczęta zostanie budowa pomnika poświęconego pamięci więźniów — ofiar Zamku Lubelskiego z okresu II wojny światowej. Monument, wg projektu Jerzego Kierskiego, stanie na Czechowie, przed pawilonem handlowym „Orfeusz”.

Informując o tym, do inicjatorów budowy pomnika (Klub b. Więźniów, Zamek, ZBoWiD, władze miasta) kierujemy następujące pytania:

— Czy pomnik jest jedyną i najbardziej pożądaną dziś formą wyrażenia pamięci?

— Kto zdecydował o tak fatalnej lokalizacji pomnika?

— Może już czas w trwałej formie wspomnieć także o ludziach, dla których Zamek był miejscem kaźni w latach 1944-1954?

◆ **LUBELSKI ODDZIAŁ** Polskiego Towarzystwa Heraldycznego nadal pełen wigoru. Czytającym te słowa polecamy wystawę w muzeum UMCS (gmach Biblioteki Głównej UMCS, ul. Nowotki 11) pt. „Polski heraldyczny

znak książkowy XVI-XX w”. Wśród eksponatów znajdują się znaki książkowe o dużej wartości historycznej, w tym: ekslibrisy królów Jana Kazimierza, Stanisława Leszczyńskiego, Augusta III, a także Senatu Gdańskiego z XVII w., bibliotek Chodkiewiczów i Zamojskich. Autorami ekslibrisów są wybitni twórcy, od Jana Marcina Myliussa po współczesnych: Stefana Mroźewskiego i Tadeusza Przyppkowskiego. Wystawa czynna będzie do końca maja.

„KSIĄŻKI DLA LWOWA” Z EKSLIBRISAMI

Zbliża się już powoli finał zbiórki książek przeznaczonych dla naszych małych rodaków ze Lwowa. Do „Tygodnika Zamojskiego”, organizatora tej akcji, a także do naszej redakcji, trafiło kilka tysięcy książek oraz wydawnictw, ofiarowanych przez mieszkańców różnych regionów kraju. Oczywiście, prym wiodą Czytelniczy z Lubelszczyzny i Zamojszczyzny.

Książki te opatrzone zostaną pamięt-

kowymi ekslibrisami. Zasluga w tym pierwsza Alfreda Gaudy, znanego lubelskiego autora książkowych znaków, który zaprosił do współpracy następujących grafików: Stanisława Baldyga, Tadeusza Budynkiewicza, Annę Gajewską, Zbigniewa Józwiaka, Grzegorza Mazurka, Maksymiliana Snocha i Zbigniewa Strzałkowskiego (wszyscy z Lublina) oraz Romana Muchę z Tomaszowa Lub.

Ekslibrisy wydrukowane zostały w oficynie graficznej lubelskiego WDK przez zespół pod kierownictwem Franciszka Podrazy, a odbyło się to na papierze ofiarowanym (wszystkie prace miały charakter społeczny) przez Lubelskie Zakłady Graficzne.

Autorom i drukarzom — pięknie dziękujemy!

Oprac. Zbigniew Miazga



Rys. Zbigniew Strzałkowski

GŁAZ TRWAŁ

Maciej Podgórski

pierosy, wino, kielbasa, mnóstwo ciastek, owoce — nie było nawet gdzie tego wszystkiego podziąć. Mnóstwo cudnych panien, białe ubrane, jak na święto, starzy i młodzi, wszyscy w radości i uniesieniu”.

Wprawdzie za ulanami Beliny, będącymi szpicą wojsk austro-węgierskich, wkraczali do Lublina Austriacy, lecz ci nowi okupanci okazali się przecież znacznie bardziej liberalni i pobłażliwi, przynajmniej dla manifestacji patriotycznych z okazji rocznic powstaniowych: listopada i stycznia, oraz przypadającej na rok 1916 — 125 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Z tej ostatniej okazji mianowano w mieście ulice — 3 Maja i Kollataja, a na pobliskim skwerze przy placu Litewskim wzniesiono ze składek obywatelskich — obelisk z białego szdłowieckiego piaskowca, zwieńczony orłem w koronie i ozdobiony rytym napisem: „NA PAMIĄTKĘ OB-

CHODU 125-EJ ROCZNICY 3 MAJA. 1791-1916”. (Autor obelisku — nieznanym).

Rocznicy towarzyszyła wyjątkowa, jak na warunki wojenne, gala „Obchód ten wypadł nader uroczysto — relacjonuje „Kalendarz Lubelski” z 1917 roku. — Przy pięknej pogodzie, we wzorowym porządku przed Katedrą o godzinie 11 ruszył pochód narodowy przez Królewską, Krakowskie Przedmieście do placu Litewskiego. Na czele szła młodzież szkół średnich i miejskich, za nią wielotysięczny tłum, w którym maszerowały mieszczanie, duchowieństwo, kilkadziesiąt organizacji i instytucji. Pochód zamykało parę tysięcy włościan w strojach narodowych, ze sztandarami polskimi, poprzedzanych banderą. Kolysał się tłum barwny, a nad głowami powiewały sztandary różnych korporacji. Sztandary o barwach narodowych z orłem białym. W niejednym oku na

ten widok iza stanęła, w niejednej duszy obudziły się żywsze wspomnienia z lat przeszłych”.

Pamiętkowy glaz trwał na swoim miejscu i doczekał Polski Ludowej, choć nie wiadomo, kiedy i jak zniknął wieńczący go, koronowany orzeł. Korzystając z przebudowy placu Litewskiego, w 1963 roku przeniesiono obelisk w krzaki na skraju placu, obok publicznego szaletu, a podobno była nawet decyzja, szczęściem niezrealizowana, aby w ogóle monument unicestwić...

Skąd taki brak pietyzmu dla symbolu i świadectwa naszej dramatycznej przeszłości, bo chyba nie z niechęci do Austriaków, którzy zezwolili na wzniesienie obelisku?

Jerzy Łojek napisał o Konstytucji 3 Maja: „Wielkość »Ustawy Rządowej« nie wynika z jej literalnej treści, z żadnego z jej konkretnych postanowień, ale z wielkości całej koncepcji

politycznej, ukształtowanej przez przywódców stronnictwa patriotycznego w latach 1788-1791, którzy podjęli dzieło reformy mimo nieprzewidywalnych, zdawało się, trudności wewnętrznych i zewnętrznych, w imię naprawy Rzeczypospolitej wbrew obcej gwarancji”.

Kiedy cytowałem te słowa w publikacji poświęconej lubelskiemu obeliskowi 3 Maja, a był on już wtedy odrestaurowany i honorowany od roku, poradono mi (skutecznie), abym skreślił trzy ostatnie wyrazy cytatu. Czyżby zatem wspomniany brak pietyzmu dla symbolu naszej przeszłości brał się stąd, że każdy motyw z polskiej historii skierowany przeciwko carskiemu zaborcy, a podniesiony współcześnie, interpretowano jako wystąpienie przeciw... narodom radzieckim?

Tylko że wtedy powstaje pytanie, czy na przykład pieśń „Boże, coś Polskę...” jest skierowana przeciw narodom radzieckim? Albowiem ten symbol naszych tradycji narodowo-wyzwoleńczej został napisany przez Fe-lińskiego w roku 1816 jako „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego”, a w dwa lata później wydany w Krakowie jako „Pieśń narodowa za pomyślności króla” (czyli cara Aleksandra I). Dopiero w czasie powstania listopadowego zmieniono słowa refrenu: „Naszego króla zachowaj nam,

Dokończenie na str. 14

Rozmowa z Jerzym Kosińskim - pisarzem, prezesem Jewish Presence Foundation

do kwadratu surrealizmu sytuacji dziecka w morzu wojny. Już samo dzieciństwo jest przecież stanem wojennym, stanem zagrożenia. Wojna realna, fizyczna to zagrożenie pomnaża. Jest więc wymierzona przede wszystkim w dzieci i z nimi, przede wszystkim, prowadzona. Dziecko zostaje wytypowane przez historię jako jej główny wróg.

Czy można wymyślić coś bardziej perwersyjnego? Jak dziecko, osaczone w swym dzieciństwie i osaczone przez zbrodniczych twórców nowego porządku świata, ma wyjść cało? Jak ma uratować i życie i psychikę? Jak ma wyjść z tego lasu i co za nim będzie?

Postanowiłem poruszać się tą właśnie drogą przez symboliczny las wraz z moim sześciolatnim przyjacielem. By podkreślić jego wyobcowanie, odmienność, sportretowałem go postrzeżanego przez otoczenie jako Żyda czy Cygana. Bo ma czarne włosy, śniadą karnację, tylko tyle. Jest więc odmieniec totalnym: wywodzi się z warstwy inteligentkiej i nie rozumie mentalności głębokiej prowincji kresowej z jej gusłami, zabobonami, standardami; jest odbierany jako obcy przez chłopów; jest odbierany jako przedmiot przeznaczony do natychmiastowej likwidacji przez okupanta; nie ma też rodziny, która mogłaby go ochraniać psychicznie i fizycznie. Droga chłopca jest pod różą przez totalitaryzm, jaki mógł się zdarzyć pod każdą szerokością geograficzną.

— Podczas spotkania z Narodową Radą Kultury na Zamku Królewskim w Warszawie jedna z uczestniczek powiedziała ci wprost, że nie była w stanie słuchać fragmentów „Malowanego ptaka”, czytanych w radiu, bo jest tak przerażający, drastyczny i okrutny. Twoja odpowiedź wydaje się warta upublicznienia, choć w ustach autora zabrzmiała zaskakująco i przewrotnie...

— Nie sądzę, abym był przewrotny. Ta pani zareagowała na książkę odruchem odrzucenia i uważam to za w pełni normalną sytuację. To, co jest w „Ptaku”, zasługuje na totalne odrzucenie, jako koszmar i spektakl nie z naszej kultury. Aby jednak nastąpiła taka reakcja, musi być bodziec. Jest nim książka.

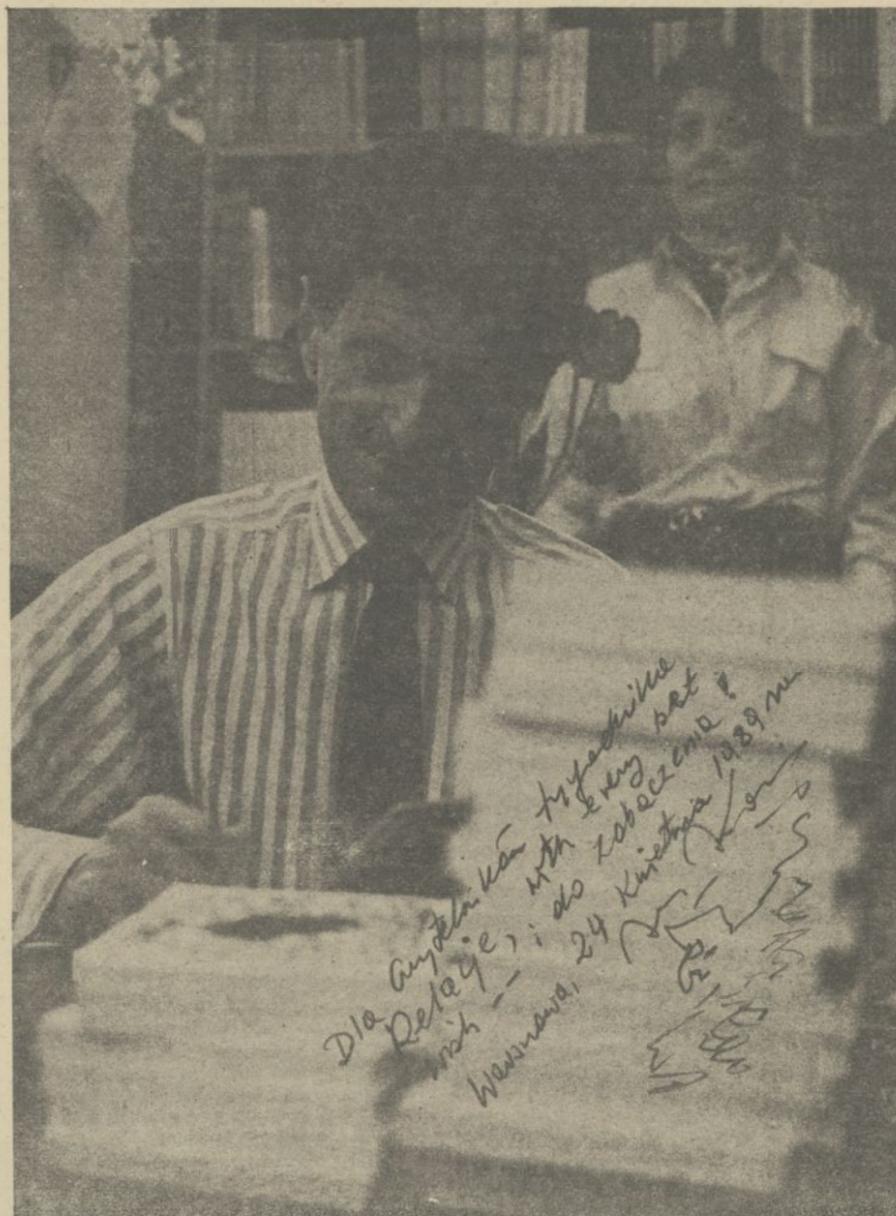
Przypomniało mi to inną sytuację, kiedy chyba w Nowym Jorku po spotkaniu autorskim inna dama i też po polsku, choć z akcentem, nie ma kwestii, żydowskim, powiedziała mi: „Panie Kosiński, pan taki kulturalny człowiek i takie piszesz okropności? Nie mógł pan co innego napisać o wojnie?”. Zapytałem: „Czy wolałaby pani, abym napisał o komorach gazowych?”. Myślała przez chwilę i odparła: „A wiesz pan, że — tak...” To mnie zmroziło. Okazało się, że „Ptak” przeraził ją bardziej niż rzeczywistość obywatelska, którą zresztą sama przeżyła. Gdy po spotkaniu zapytałem ją, dlaczego zadawała pytanie po polsku, odpowiedziała: „Bo to są, panie Kosiński, nasze polskie sprawy. Co mają Amerykanie słyszeć?”. Jeżeli więc książka może

wzbudzać podobne reakcje niezależnie od języka oryginału, to uważam, że jest potrzebna. Odrzucenie jest dla mnie bardzo dobrą recenzją.

— Czego się spodziewasz po odbiorze „Malowanego ptaka” w Polsce, który nareszcie funkcjonować będzie w obszarze naszego języka w oryginale, a nie poprzez przekazy i omówienia, niestety w większości tendencyjne?

— Jak każdy pisarz jestem próżny i nie mogę powiedzieć, że nie interesują mnie glosy czytelników czy krytyki. Nie mam jakichś specjalnie wygórowanych oczekiwań. Po prostu chciałbym móc normalnie wracać do mojej Polski i żeby „vox populi” nie trzymał mnie od niej na odległość.

OBECNOŚĆ



Jerzy Kosiński w księgarni „Czytelnika”.

Foto: Anna Brzezińska

To, co mówię, bierze się ze wspomnienia historii rozpętanej wokół książki przed laty w kraju oraz z tego, że ukazuje się ona po polsku, ukazawszy się już w dwudziestu innych językach i ponad trzydziestu krajach. Kiedy czytam „Malowanego ptaka”, nie mogę pozbyć się wrażenia, że mam do czynienia z książką napisaną po polsku przez kogo innego. Fabuła ta sama, ale język inny. Czytam ją i myślę sobie: „Boże, jaki ten Tomasz Mirkowicz jest znakomity. Jak on pisze”. Nie mogę się przyzwyczaić do „Ptaka” po polsku, bo pisząc go starałem się myśleć po angielsku i tak go mam zakodowanego. Zresztą już sama sytuacja, w której jestem genialnie przekładany na mój język ojczysty, jest rodzajem realizmu magicznego, możliwego w niewielu miejscach na Ziemi.

— Kończąc motyw wydanej przez „Czytelnika” twojej debiutanckiej — w Polsce książki, spytałem cię jeszcze tylko o zgodność jej tytułu z oryginałem „The Painted Bird”. Czy „Malowany ptak” oddaje dobrze jego znaczenie?

— Pozostawiłem Tomkowi Mirkowiczowi pełną swobodę. Jeżeli w moim odczuciu mogłoby być „Pomalowany ptak”, o czym zresztą mówiłem, a jest inaczej, bierze się to z mego szacunku dla profesjonalizmu tłumacza i nieprzywiązywania znaczenia do detali.

— Motywem twego obecnego przyjazdu do kraju była promocja książki, lecz nie tylko. Co możesz powiedzieć o tych innych celach?

— Było ich kilka. Uczestniczyłem w uroczystej imprezie wspomnieniowej poświęconej Krzysztofowi Komedzie-Trzcinińskiemu, którego muzykę bardzo cenię i gdy jej słucham, wciąż nie wierzę, że go nie ma z nami. Chciałem również pokłonić się pani Marii Kuncewiczowej, która niedawno przekazała mi przez wspólnych znajomych egzemplarz swojej znakomitej książki „Listy do Jerzego”, oraz zrewanżować się polskim wydaniem „Malowanego ptaka”. Zostałem również poproszony przez rektora UMCS, profesora Zdzisława Cackowskiego, o rodzaj recenzji uzasadniającej decyzję o nadaniu jej tytułu doktora honorowego tej uczelni. Nie muszę chyba objaśniać, że uczynię to z największą radością i poczuciem zupełnie niezаслужonego wyróżnienia. Nie mogę też nie powtórzyć, iż Marii Kuncewiczowej i jej wsparciu po lądowaniu w USA zawdzięczam wybór drogi zawodowej, w oczywisty sposób rzutującej na moje życie.

Prowadziłem także owocne rozmowy z władzami Krakowa na temat przyszłości tamtejszego Kazimierza, historycznej dzielnicy żydowskiej. Wśród pomysłów na renowację tego miejsca jest m.in. budowa hotelu, w którym mogłoby stać Żydzi z całego świata, przyjeżdżający szukać swych korzeni, historii i tradycji, oraz odbudowa fragmentów murów obronnych, jakimi Kazimierz był otoczony. Jest to zresztą zupełny ewenement. Mury obronne spośród miast żydowskich posiadała przed Kazimierzem — Jerozolima.

Spotkałem się z ministrem budownictwa Bogumiłem Ferensztajnem, z któ-

Dokończenie na str. 14

DOTYK

Ciąg dalszy ze str. 1

dalej: do sektorów odpowiadających „geografii” nadziei, która jest również geografią ich ciała zakodowaną w literach oznaczających miejsce oczekiwania: G, K, B, N, NN, 3. „G” oznacza głowę, „K” — kręgosłup, „N” — nogi, „NN” — ludzi na noszach i w wózkach inwalidzkich, a „3” — specjalną kolejkę dla rodziców z dziećmi oraz osób mających kłopoty z poruszaniem.

— Jedzie! Patrzcie, jedzie! — starsza kobieta w foliowym kapturze pokazuje ręką na wjeżdżające na teren plebanii samochody.

Kolejka ożywia się. Ludzie zaczynają ze sobą rozmawiać, komentować sytuację, na którą czekają. Niektórzy czekają od wielu miesięcy. Niewykluczone, że może to być w ogóle ostatnia szansa. „Kurier Lubelski” pisząc o listach kierowanych do głównego bohatera dzisiejszego dnia sugerował, że Clive Harris przyjechał do Polski po raz ostatni.

— Słyszał pan? Ma teraz leczyć „ajdsa” u Murzynów. To się w łbie nie mieści! Tylu przecież u nas potrzebujących...

— No i, panie, może się od nich zarazić. Że też się nie bci? A u nas czym się zarazi? Katarrem? Grypą?

Dialog ciągnie się niespiesznie, przepalany „Popularnymi” chowanymi w rękawach przed deszczem.

Dolatuje aromat kawy rozlewanej z termosów. Ktoś wyjmując z papierowej torebki po cukrze udko kurczaka, ktoś przeżuwa swoją kielbasę. Harcerze przytupują z zimna; nie mogą się skryć pod drzewami pobliskiego skweru, ani w samochodach. Muszą być na swoim miejscu. Służba.

Mówi Teresa O., organizatorka przyjazdów Clive'a Harrisa do Lublina:

— Gościmy go po raz dziewiętnasty. Trafił do nas dzięki pani profesor Teresie Rylskiej z KUL. Była ona chora na raka i lekarze w zasadzie byli bezradni. Pani profesor dowiedziała się, że w Anglii jest człowiek o niezwykłym darze uzdrawiania. Pojechała do Londynu i tam została przyjęta na prywatne leczenie przez Clive'a Harrisa. Efekty były nadspodziewane. Jak sama mówiła, przedłużył jej życie o dwaście lat. Ona właśnie zaprosiła pana Harrisa do Lublina i była organizatorką jego pierwszych przyjeżdż. Ja z czasem przejęłam te obowiązki. Jak to się stało? Skłoniła mnie do tego tragedia rodzinna. Mój syn urodził się z porażeniem mózgowym i do czwartego roku życia nie mówił, ani nic nie rozumiał. W 1977 roku zawiozłam go do Warszawy, gdzie po raz pierwszy zjawiał się w Polsce pan Harris. Przyjmował w kościele przy ulicy Freta i tam pierwszy raz dotykał syna. Po zabiegu dziecko spało sześć godzin. Początkowo obawialiśmy się negatywnych skutków. Okazało się jednak coś zupełnie przeciwnego. Następowala poprawa. Po kolejnych leczeniach u Harrisa, mały zaczął nas rozpoznawać i mówić pierwsze słowa. W 1979 roku, kiedy przyjeżdżał po raz pierwszy u nas, na parafii w Głusku, byłam już wśród organizatorów. Obdarzył mnie zaufaniem, a ja postanowiłam poświęcić się służbie w jego misji. Pan Harris widząc poprawę u syna powiedział mi, że nie mogę poprzestawać tylko na jego pomocy, ale powinnam zdecydować się na operacyjne leczenie dziecka. Profesor Dega operował je czterokrotnie. Dziś syn może się nawet samodzielnie poruszać...

Dlatego tu jestem i nie mam cienia wątpliwości, że Clive Harris obdarzony jest szczególną mocą uleczenia. Znam wiele przypadków wyleczenia, lub zahamowania choroby w sytuacjach zupełnie beznadziejnych. Mając tę świadomość widzę sens mojej pomocy, jaką staram się służyć...

Teresa O. zarzuca nas faktami. Wyleczenie białaczki, owrzodzenia żołądka, powstrzymanie marskości wątroby, postępu choroby Bùrgera, skuteczność w przypadkach nowotworów itd. Zupełnie już kuriozalny jest casus związany z wyleczeniem bezpłodności u pary małżeńskiej. Po dwóch zabiegach u Harrisa, na trzecim spotkaniu za rok przyszli z niemowlęciem! Ich przypadek ginekologów uważali za nieuleczalny. O skuteczności zabiegów londyńskiego healera zdają się świadczyć tysiące listów od ludzi, którym pomógł, wpływające na lubelski adres korespondencyjny uzdrawiacza (Lublin 17, skrytka pocztowa 35).

DOCHODZI 5.50. W kościele św. Tercy od Dzieciątka Jezus wszystko gotowe. Z plebanii, pod parasolem, w otoczeniu grupy młodych ludzi, wychodzi szczupły, lekko przygarbiony mężczyzna. Wygląda na odprężonego i zrelaksowanego. Uśmiecha się, wita z harcerzami ze służby porządkowej. Ma na sobie niebieską koszulę w delikatne podłużne paski, bezowe spodnie i pikowaną kamizelkę. Stali bywalcy mówią, że w tej koszuli przyjeżdża do Lublina chyba czwarty raz. Teresa O. skomentuje to krótko: „Nigdy nie przywiązywał wagi do ubioru. Jest człowiekiem skromnym, żyjącym ascetycznie. Nie ma dużych wymagań”.

Punktualnie o szóstej otwierają się drzwi kościoła i wchodzi doń pierwsza grupa ludzi. Każdy

Ciąg dalszy na str. 5

JEST w naturze czas siania i czas zbierania. W odniesieniu do ludzkiego życia plony zbiera się na starość. Wtedy otrzymuje się też zapłatę za trud wychowania dzieci. Ale dzieci często płacą fałszywą monetą, złą monetą. Dla wielu liczących na spokojną jesień życia u boku najbliższych dom pomocy społecznej jest szokiem. Jak wiele rodzin w ten prosty sposób „załatwia” problem ludzi starych, świadczą przepelnione domy pomocy oraz bardzo długie do nich kolejki. „Są i tacy — mówi dyrektorka Domu Pomocy Społecznej w Lublinie przy ul. Głowackiego 26, Irena Niwińska — co załatwiają to jak hieny i od starych rodziców wyciągają ostatnie grosze”. Tym opuszczonym ludziom zostają jeszcze jakieś pieniądze po opłaceniu z

kobieta, urodziwa i lubiąca życie towarzyskie, nagle zdecydowała się porzucić to wszystko, wyzbyć się dóbr doczesnych i wstąpić do zgromadzenia Albertynek. Dzisiaj jest siostrą Konradą. Dzięki niej w Lublinie znalazły swoje miejsce Albertynki.

Mimo że państwo nie finansuje tego domu opieki, życie nie jest tutaj skromniejsze niż przy Głowackiego 26. Na pewno natomiast jest tu czystiej. Obecnie pod opieką czterech siostr znajduje się 14 pensjonariuszek. Pierwsze wrażenie, jakie odnosię w tym domu, to właśnie idealny porządek i sterylność czystości. Lśniące posadzki, estetycznie urządzone pokoje, jedna duża łazienka i kaplica, w której msze odbywają się w niedziele i święta.

Syn innej mówi zaś: „Proszę siostry, ja sobie w ogóle nie wyobrażam, że moja matka może mieć tak dobrze i tak czysto”. Dziwi nieco, że on, sam lekarz, nie mógł jej tego zapewnić.

CHĘTNYCH do umieszczenia tutaj swoich starych rodziców jest dużo. Przychodzi np. młoda kobieta i mówi: „Siostró, mamusia jest jakaś niespokojna. Może by siostry...?” W takich sytuacjach przełożona Eligia traci cierpliwość. Wie, że najlepszą opieką jest opieka własnych dzieci. Prosi więc, by córki i synkowie starali się sami, jak mogą, zajmować matkami.

Jeżeli jednak są ludzie naprawdę bardzo potrzebujący, miejsce się znajdzie. Na przykład przywieziono kiedyś ze szpitala

STARYCH DRZEW SIĘ NIE PRZESADZA...

OBLICZA STAROŚCI

Violetta Krasnowska

rent i emerytur pobytu w tym domu. Jednak i do tych resztek dobierają się „kochający” najbliżsi. Przez cały miesiąc nie widzi się ich, a właśnie w dniu wypłat jest ich pod domem dużo. Niecierpliwie przechadzają się po chodniku przed bramką, by bezpośrednio z rąk listonoszki odebrać przekazy pieniężne emerytur.

Chodząc po korytarzach i odwiedzając pokoje DPS przy ul. Głowackiego 26, a jest ich dużo (4—5-osobowych przy 120 pensjonariuszach), czuję woń lizolu i jakiś dziwny, trudny do określenia zapach. Zapach starości? Prawie trzy czwarte mieszkańców domu to, jak określiła pani dyrektor, osoby z „brakiem sygnalizacji czynności fizjologicznych”. Dochodzi do tego brak personelu. Według przepisów, jedna pielęgniarka powinna opiekować się ośmiorgiem chorych, zaś salowa — pięciorgiem. W praktyce jest to niewykonalne.

Mówi się, że starych drzew się nie przesadza, bo usychają i wędną. Starzy bronią się więc przed umieszczeniem — jak mówi się potocznie i co tu ukrywać, zgodnie z prawdą — w domach starców. Bo atmosfera takiego obiektu kojarzy się nieodparcie ze szpitalem i poczekalnią. I tak zapewne rozumiane jest to również przez ludzi starych. Mimo że mają tutaj lepszą czy gorszą, ale stałą opiekę pielęgniarską i lekarską, domy pomocy społecznej uważają za najgorsze zło. Na troskliwe pytania pani dyrektor o samopoczucie mówią, że jest dobrze, trochę narzekają na pogodę, zdrowie... bo co tu mówić w obecności dyrektorki?

Inną sytuację zastałam w lubelskim domu zgromadzenia siostr Albertynek, opiekujących się starymi ludźmi, przy ul. Ogrodowej 4. Biała, secesyjna willa jest oddzielona od ulicy niewielkim ogrodkiem. Na kutej bramie nie ma żadnej tabliczki, że tutaj może znaleźć dach nad głową i opiekę stary człowiek. Przyczyna prosta: oszczędność. Siostry czekają na kanonizację brata Alberta, założyciela ich zgromadzenia, którego imieniem nazwały także ten dom. Chcą napisać na tablicy: „im. św. Alberta”. Toteż dla przypadkowego przechodnia jest to ma razię zwyczajny, prywatny dom. Przechodzień może tylko zwrócić uwagę na urodę domu, który ma zresztą ciekawą historię.

TRZY lata temu wykupiła go, poświęcając swoje oszczędności, znana aktorka lubelska — Barbara Koziańska, i podarowała siostram Albertynkom. Ta trzydziestokilkuletnia

Siostra przełożona — Eligia — oprowadza mnie po całym domu, poznaje z mieszkankami. Trafiam akurat na porę obiadową. Na drugie danie podano kaszę z mięsem, jest także deser. Kiedy wchodzi do jednego z pokoi, kobiety ożywają się. Dla nich każda wizyta, każde odwiedzenie — to atrakcja. Moje kolejne zaskoczenie to tutejsza atmosfera. Nie słyszę żalów. Rozmowy są pogodne, a na twarzach uśmiechy. W tym pokoju, gdzie znajdują się teraz, jest najmilej, może dlatego, że to najbardziej słoneczny pokój, a i mieszkanki rozmowne.

Jedna z kobiet opowiada, jak tu trafiła. Pokój był przeznaczony dla siedmiu osób, więc miejsca niewiele. „Przecież tańczyć tutaj nie będę — śmieje się — i zostalam tutaj”. Siostra Eligia opowiada mi później jej historię. Jest dramatyczna. Kobieta miała własne mieszkanie, a nie chcąc mieszkać sama i licząc zapewne na pomoc, zameldowała w nim swojego kuzyna. Reszta nie jest już dla mnie zaskoczeniem. Po pewnym czasie musiała opuścić mieszkanie, gdyż kuzyn używał różnych metod, aby pozbyć się staruszki. Udało mu się, a główna lokatorka trafiła pod opiekę siostr Albertynek. Widać, że jest zadowolona. Z dumą opowiada, jak właśnie w tym roku obchodzono w domu jej dziewięćdziesiąte urodziny. Jest roześmiana i tak rozgadana, że trudno mi uwierzyć w jej wiek.

Przy wspólnym stole siedzi również pierwsza i najstarsza lokatorka domu przy Ogrodowej. Ma 93 lata i czworo dzieci. Syn z żoną zbudowali dużą willę. Ale tylko dla siebie. Dla matki zabrakło miejsca. Zabroniono jej wchodzić „na pokoje”, a nawet na schody. Mieszkała w tzw. letniej kuchni. Jak nazwa wskazuje, jest to pomieszczenie do korzystania wyłącznie latem, a trzy lata temu była zima naprawdę mroźna. Siostry Urszulanki, starające się pomóc staruszce, poprosiły Albertynki o jej przyjęcie. Zamieszkała w niewykończonym jeszcze domu.

Siostra Eligia opowiada mi o innych mieszkankach. Na przykład jedna z nich czeka tutaj na syna. Wyjechał do Kanady, pozostawiając matkę samą, a ona ma już 74 lata... Może doczeka.

Jest tutaj także kobieta, która jako piastunka wychowała pewnej rodzinie dwa pokolenia. Teraz, gdy nie ma już sił, liczy 78 lat, i nie może pracować — oddano ją tutaj. Syn innej staruszki przyjeżdża prawie codziennie. Wpada na kilka minut między zebrałami i jakąś komisią. Znalazła się tutaj, bo — jak powiada zajęty syn — „mamusi tutaj przecież będzie najlepiej”.

chorą, gdyż lekarze nie chcieli czekać aż staruszka umrze. A ta kobieta, pielęgnowana przez siostry, żyła jeszcze trzy tygodnie.

Albertynki są czule na każdy sygnał z zewnątrz. Jeżeli spotykają się z biedą, same proponują pomoc.

Kiedyś siostra Eligia spotkała kobietę nocującą na dworcu. Jak się okazało podczas rozmowy, mieszkanie miała, i to pod okiem siostr, przy ul. Ogrodowej. Nie sposób było jednak dostać się do tej sutereny. Zwały smat i papierów uniemożliwiały wejście do środka. Kobieta nie przyjęła propozycji siostr, gdyż... „Wolna Europa jej nie pozwala”...

Kiedyś otrzymały taką informację: od trzech dni na schodach na placu Wolności siedzi stara kobieta. Zróbcie coś. Reakcja Albertynek była natychmiastowa. Nikt nie pytał o rodzinę ani o pieniądze. Siostra Eligia wspomina jej pobyt: „Była dziwna. Ogarnięta jakąś psychozą. Karmila nie istniejące dziewczynki. Pod kaloryfer kładła bułeczki, lała herbatę. Mówiła: »Nie słyszy siostra, jak one krzyczą? Niech siostra da im marmoladki do tych bułeczek. One tak strasznie krzyczą i płaczą, są głodne«. Po pewnym czasie przestała w ogóle jeść, bo wszystko oddawała tym dziewczynkom”. Siostry odeślały ją w końcu na leczenie psychiatryczne.

Zdarza się jednak, że — zapraszając — spotykają się z kategoryczną odmową. Od: „nie chcę nic od was”, po: „idź, bo cię kopnę”. Tak było w przypadku pewnej kobiety, którą siostra przełożona dostrzegła przesiadującą na poczcie.

Okres świąt, to czas, gdy dom załadnia się bardziej. Wtedy przychodzą ludzie, którzy te dni chcą spędzić w rodzinnej atmosferze. Bo w czasie świąt najtrudniej być samemu.

Niektórzy przychodzą tu tylko po to, by zapisać się do stołówek. Jednak Albertynki opiekują się tylko biednymi, „garkuchni” nie prowadzą. „Czy trudno to zrozumieć?” — pyta siostra Eligia. Gdy przychodzą ubodzy, można to jeszcze pojąć, gdy zaś bardzo bogaci — jest to zastawiające.

Porównując dwa, odwiedzone przeze mnie domy, czuję się, jakbym odwiedziła dwa różne światy. W pierwszym — bezosobowa anonimowość, atmosfera porzucenia. W drugim — rodzinne ciepło, życzliwa akceptacja. Mógłby ktoś powiedzieć, że nie można porównać domu, w którym mieszka 120 osób, od kameralnej willi z cztermi mieszkanekami. Być może, ale atmosferę tworzą przecież opiekunki przede wszystkim.

W GORĄCZCE, MAJĄCĄC, ZDRADZIŁEM SIĘ KIM JESTEM DISTRIKTSKRANKENHAUS LUBLIN 1943 ROK

Edmund Orkiszewski

NA jednej z sal oddziału chorób wewnętrznych lubelskiego „Distriktskrankenhaus” leżało ośmiu chorych. Niektórzy przebywali tutaj od kilku miesięcy, inni opuszczali szpital po kilku tygodniach, niektórzy opuszczali ziemski padół. Na pierwszym piętrze znajdował się oddział chirurgiczny; tu leżało wielu rannych żołnierzy z frontu wschodniego. Na drugim piętrze były same kobiety, głównie siostry Niemieckiego Czerwonego Krzyża i tzw. „Blitz-Mädel”.

Dyrektorem szpitala był repatriowany z Argentyny starszy lekarz, który miał do pomocy lekarzy z Rzeszy oraz kilku młodych Polaków. Personal pomocniczy składał się z Polaków. Pielęgniarkami były siostry szarytki.

BYŁ rok 1943. W Lublinie i jego okolicy stacjonował silny garnizon wojskowy. Terror, stosowany przez osławionego generała SS Globocnika i szefa gestapo Müllera, osiągnął szczyty bestialstwa. Akcje pacyfikacyjne na wsi, łapanie uliczne w miastach, torturowanie więźniów w siedzibie gestapo „Pod Zegarem”, maltretowanie osadzonych w więzieniu na Zamku przez komendanta Dominika i jego żonę, wreszcie Zamojszczyzna — wszystko to sprawiło, że Lubelszczyzna była najbardziej chybą umęczonym regionem. Dodajmy, że pod miastem znajdował się Majdanek.

Do lubelskich lazaretów przybywało coraz więcej pociągów z rannymi. Z braku miejsc w szpitalach wojskowych, część rannych umieszczono w niemieckim „Distriktskrankenhaus”.

Przebywali tu różni chorzy. Obok besarabskiego chłopca-voiksdeutscha, przesiedlonego do zamojskiej wioski — leżał Johann Grabowski, gestapowiec z Kraśnika, który do wojny był w Bydgoszczy przedstawicielem niemieckich firm samochodowych. Obok inżyniera z przedsiębiorstwa budowlanego — kilkunastoletni chłopiec z kresów Polski. Byli miejscowi voiksdeutsche i rodowici Niemcy z Rzeszy. Ci pierwsi nie znali przeważnie języka niemieckiego.

Besarabski chłop, którego wraz z liczną rodziną osadzono w podzamojskiej wiosce na gospodarstwie wypędzonych Polaków, otrzynał od rodziny listy. Z dumą czytał, jak złożony z młodych voiksdeutsche „Selbstschultz” pilnuje wioski i strzela w nocy do „polskich bandytów”. Jesienią 1943 roku otrzymał również list. Tym razem oficjalny. Po przeczytaniu dostał ataku szaleńczego, trzeba go było unieszkodliwić i wywieźć ze szpitala. Niemieckie władze zawiadomiły go w liście, że cała rodzina zginęła za „Führera i Vaterland” w walkach z polskimi bandytami.

Johann Grabowski, otyły gestapowiec, po zwolnieniu ze szpitala „zmarł” niespodziewanie w Kraśniku.

Jesienią 1943 r. przywieziono ciężko poparzonego Niemca, w tym kobiety. Zostali ściśle odizolowani. Przez kilka dni słychać było w całym szpitalu straszliwe jęki i krzyki. Poparzeni wyli z bólu, dwie kobiety wzywały Boga po polsku. Zagadka szybko się wyjaśniła. Na podlubelskiej szosie partyzanci urządzili zasadzkę. Spalono dwa samochody osobowe, w których było kilku gestapowców z dwiema voiksdeutchkami. Kto nie zginął na miejscu, zmarł w męczarniach w szpitalu.

W tym samym okresie sprawą, która wywołała oburzenie zderzenie wśród Niemców w Lublinie, a radość Polaków, był zamach na wyższych dowódców wojskowych. Zamachu dokonano, kiedy dwóch generałów w asyście oficerów i eskorty wyjechało na inspekcję budowy umocnień nad Wisłą. O ile pamiętam, zginęło wówczas dwóch generałów, kilku oficerów sztabowych i żołnierzy. Pogrzeb miał być manifestacją niemiecką w Lublinie. Odbił się z wielką pompą. Kondukt pogrzebowy otoczony był gestapowcami i żandarmami. Podobnie cmentarz przy ulicy Lipowej. U wejścia na cmentarz uważnie lustrowano wschodzących, niektórych legitymowano. Również leżący chorzy i ranni ze wszystkich niemieckich szpitali musieli wziąć udział w tej manifestacji. Mów było wiele, a ich treścią były pogroźki pod adresem Polaków.

Od tego czasu szpital był jeszcze bardziej strzeżony, tym bardziej, że w kilka dni później przywieziono ciężko postrzeloną w mieszkaniu żonę gestapowca.

W SZPITALU był stały posterunek gestapo. Strażnicy pilnowali nie chorych w ogóle, ale niektórych Niemców, bo wśród pacjentów znajdowali się również więźniowie Niemcy, dostawieni z lubelskiego Złotego. W 1943 roku przewinęło się ich przez szpital kilkunastu.

Był inżynier budowlany z Naderenii, nawiasem mówiąc notoryczny pijak. Kierował na ul. Lubartowskiej jednym z przedsiębiorstw organizacji Todt. Przedsiębiorstwo budowało na wschodzie umocnienia i lotniska, oczywiście rękami polskich robotników. Inżynier lubił wódkę i kobiety. Wykazywał tym chyba większe zainteresowanie, niż umacnianiem potencjału wojennego III Rzeszy.

Którejś niedzieli na lubelski dworzec przyjechał transport polskich robotników. Inżynier osobiście zajął się nimi, chciał ich nakarmić, ale polskie lokale były zamknięte. Całą kilkunastuosobową grupę wprowadził do lokalu „Nur für Deutsche” na Krakowskim Przedmieściu. Niemcy zaprotestowali i zażądały usunięcia Polaków. Inżynier postawił się ostro, zamówił śniadania i polecił Polakom zająć miejsca. Skończyło się na wyrzuceniu „polskich świń” i aresztowaniu inżyniera. W więzieniu rozchorował się, odesłano go do szpitala. Chociaż pilnowany i bez ubrania — zniknął pewnej nocy. Gestapo szalało, przesłuchania ciągnęły się przez kilka dni. Uciekiniera nie złapano.

Innymi razem przyprowadzono na salę kapitana, inwalidę bez nogi. Stracił ją w kampanii wrześniowej w bitwie pod Kutnem. Przeszedł do rezerwy i pozostawiono go w administracji cywilnej GG. W Lublinie był kierownikiem biura podróży „MER” — Miłtropy. Odznaczał się ludzkim stosunkiem do Polaków, uczył się intensywnie naszego języka. Został aresztowany, kiedy ujął się za bitym przez Niemca chłopakiem. Broniąc Polaka, uderzył laską bijącego, który okazał się oficerem żandarmerii po cywilnemu.

Ten kapitan-inwalida musiał być chyba wyjątkowo groźny dla hitlerowskiego „nowego ładu”, skoro w szpitalu przed drzwiami sali ustawiono posterunek.

W lubelskim szpitalu przebywał stary, siwy Niemiec. Dwóch młodych gestapowców wprowa-

dziło go na salę, poczekali, aż przebierze się w szpitalną odzież, po czym głośno oświadczyli, że wszyscy chorzy w sali mają pilnować „tego starego zdrajcę Rzeszy”. Po wyjściu ktoś z chorych stwierdził, że za drzwiami pozostał jeden z gestapowców.

Stary więzień wyglądał na ciężko chorego. Ogromny, barczysty, z siwą czupryną i takimi wąsami, z trudem trzymał się na nogach. Zajął łóżko, ciężko usiadł, rozejrzął się po sali. Na ścianie wisiał portret führera. Zapytał głośno, dlaczego dotąd nikt tego portretu nie wyrzucił. Choczy struchleli. Jedni udawali, że nie słyszeli pytania, leżący chorzy szybko się czymś zajęli. Zapytał po raz drugi. Strach sparaliżował salę, znów nikt nie odpowiadał. Starzec wstał, podszedł do portretu i plunął. Nikt nie zareagował. Starzec stał z założonymi rękami i głośno mówił o nienawiści do wodza III Rzeszy, po czym spojrzął z politowaniem na sali i stwierdził krótko: „tchorze”.

Po kilku dniach można było zorientować się, kim jest, skąd przybył. Miał na imię Otto. Liczył 68 lat. Pochodził z Berlina. Był starym działaczem KPD. Od wielu lat siedział w berlińskim Moabicie. W 1943 roku odtransportowano go na lubelski Zamek. Opowieść była wstrząsająca. Eskortowany przez młodzików z Hitlerjugend, cały czas był przez nich bity i łżony. „Mnie, starego człowieka, bili przy każdej okazji — opowiadał. — Od Berlina do Lublina bez jedzenia i picia. Oto, co Hitler zrobił z naszej młodzieży”. Do więzienia przywieziono maltretowanego starca. „Wiem, że zginę — mówię innym razem — ale w Niemczech jest nas bardzo wielu, przeżyją. Oni dalej prowadzą robotę. Moja śmierć nie uratuje hitleryzmu”.

Chyba zginął. Po dwóch tygodniach, po kolejnej wizycie gestapowca i nowej porcji wyzwisk, zrzucił portret Hitlera i podępał. Zabrano go natychmiast.

Aresztowania miały miejsce i w samym szpitalu. Było to w lipcu 1943 roku. Na szpitalnym tarasie kilku żołnierzy flirtowało z pacjentkami z drugiego piętra. Wstęp do nich był wzbroniony. Siedzieli więc w oknach i zaczęli spacerujących w ogrodzie mężczyzn. Jedną z dziewcząt zapytała, z jakiej są dywizji. Żołnierz odpowiedział. A wtedy ona:

— Ach, to od tych zdrajców, co ze sztandarem przeszli do bolszewików (chodziło o dywizję złożoną głównie z wcielonych do wojska mieszkańców Śląska, którzy przeszli na stronę sowiecką).

Żołnierz zapytał z kolei, skąd ona jest.

— Z Blitzmädel (służba łączności kobiet w wojsku).

— Ach, od tych żołnierskich k...

Wkrótce przyjechało gestapo i żołnierza zabrali.

MIAŁY miesiące, do lubelskiego „Krankenhausu” przybywali nowi chorzy i coraz więcej rannych. W przyszpitalnej kostnicy brakowało miejsca.

W końcu grudnia 1943 r. wypisano mnie, Eduarda Biglera, ze szpitala. Kilka miesięcy wcześniej, w gorączce, majacząc, zdradziłem się, kim rzeczywiście jestem. Na szczęście miało to miejsce w gabinecie zabiegowym przy polskim lekarzu i polskich pielęgniarkach. Od tego czasu otoczono mnie szczególną opieką i umieszczono w izolację.

Obie pielęgniarki-szarytki spotkałem po wojnie. Nadal pracowały w szpitalnictwie. Jedną w Olsztynie, drugą w Gdyni. Wówczas dowiedziałem się, że dwa tygodnie po moim wyjściu ze szpitala zjawili się gestapo. Dopadli mnie w kilka tygodni później w Otwocku, ale to już zupełnie inna historia.

DOTYK

Ciąg dalszy ze str. 4

z nich trzyma w prawej ręce numerkę z wydrukowaną godziną, literą sektora oraz nazwą chorego narządu w języku angielskim. Jako pierwsza przyjęta zostaje 62-letnia kobieta z Siemiatycz uskarżająca się na uporczywe bóle głowy. Na karteczce napis: „HEAD”. Healer obejmuje jej głowę swoimi długimi i szczupłymi palcami w okolicach skroni. Potem kilkakrotnie zmienia położenie dłoni. Uśmiecha się do chorej i po polsku mówi: „Dziękuję!” Kobieta odprowadzają w kierunku zakrystii dziewczęta. Zabieg trwa kilka sekund. Jedną z pomocnic Harris naciska w tym momencie przycisk ręcznego licznika. Po pierwszej godzinie wskaże on liczbę nieznacznie przekraczającą 700. Ta arytmetyka nie służy zaspokajaniu ciekawości czy też dokumentowaniu „wydajności pracy”. Co kwadrans healer otrzymuje informację, ile osób dotknął. Może zatem regulować tempo zabiegów. A nawet musi! Na godzinę przewidziano siedmiuset pacjentów. W praktyce podchodzących jest więcej, bowiem nacisk na organizatorów był tak duży, że normę podniesiono.

Zgodnie z ustalonym przez Harris planem pacjenci ustawiają się przed wejściem do kościoła w trzech kolejkach. Wchodzi naprzemiennie: „głowy”, „kregosłupy” i „brzuchy” (tak się określa dolegliwości wszelkich narządów wewnętrznych). „Nogi” natomiast oczekują, siedząc na przygotowanych specjalnie ławkach. Uzdrwiacz stoi w okolicy ołtarza, a rząd ludzi przesuwa się w jego kierunku. Gdy kolejka kończy się, do kościoła wprowadzani są chorzy z dolegliwościami nóg i usadzeni na ławkach ustawionych wzdłuż ścian. Po opuszczeniu pomieszczenia przez ostatnich „chodzących”, healer podchodzi do ławek. Schyla się raz po raz i przesuwa dłonie wzdłuż nóg chorych. Zwykle jednak proszą oni o rozszerzenie terapii na inne organy. Harris ustępuje. W naturalny sposób wydłuża to zabieg, powoduje przekroczenie planowanych norm.

„Nogi” cieszą się największym powodzeniem. Jest ich najmniej, stąd też na „gieldzie”, która już z powodzeniem działa w okolicy kiosku „Ruchu”, najczęściej pytań o numerki z nadrukiem „LEGS”.

— Mam „głowę”. Zamienię na „nogi”...

— Mam dwa „żołądki”. Potrzebuję „kregosłupa” i „uszu”...

— A ja mam, cholera, jakiegoś „sinusa”. Co to jest?

— To będzie na pewno coś nie w porządku z nerwami...

— No, tylko nie z nerwami...

— Panie, „sinus” to są zatoki!

Ostatecznie posiadacz „poloneza” z rejestracją SIX wszedł w posiadanie „kregosłupa” w zamian za „żołądek” plus „sinus”.

Niekiedy „gielda” przenosi się bliżej punktu informacyjnego, który jest równocześnie wejściem dla kolejki numer 3. Kierujący nim Ryszard Mirecki jest bez przerwy nagabywany o numerki lub przychylności, gdy na przykład nie zgadza się godzina na numerku z tą aktualną, na zegarku. Bywa, że ludzie próbują przemawiać do niego argumentami Narodowego Banku Polskiego. Pozostaje niewzruszony jak stojący obok harcerze. Wszyscy oni wykazują zaiste anielską cierpliwość, gdy po raz szósty zawierają kobieciny w barwnej chustce, która przekrada się pod linami wytwarzającymi szlak nadziei. Albo wyjaśniając osilkowi z Hrubieszowa, posiadaczowi numerka „choreby kobiece”, że nie mają akurat na wymiane „nerek”. Córka p. Mireckiego również bierze udział w obsłudze. Jest w kościele i czuwa nad możliwie najszybszym przepływem strumienia ludzi.

10.25 Harris pracuje bez przerwy. Przestało lać Widać, że healer jest jakby spokojniejszy. Uprzednio prosił, by służba porządkowa przekazała oczekującym w deszczu, że stara się pracować jak najszybciej, że przyjmie wszystkich i że rozumie ich zniedołężnienie. Kiedy więc ustaje deszcz i wychodzi słońce, także i w kościele robi się pogodniej. Zapewne także za sprawą muzyki łagodnie sączącej się z głośników. Clive Harris wozi ze sobą niewielką walizkę wypełnioną kasetami magnetofonowymi z nagraniami, które sam skompletował. Pomagają mu healerowi w budowaniu odpowiedniego nastroju oraz utrzymują go w dobrej formie psychicznej. Wśród wykonawców preferowanych przez Harris znajdują się m. in. Joan Baez, Olivie Newton-John, George’a Zamfira, grupę ABBA, Richarda Claydermana, Plácido Domingo, ale także utwory klasyków: Straussa, Verdiego, Czajkowskiego, Schuberta, Debussy’ego, Rossiniego, Pucciniego, Donizettiego. Utwory te są odtwarzane w sposób intencjonalny, związany z pogodą, porą dnia, nawet samopoczuciem uzdrowiciela.

Znaczenie muzyki w tym misterium najlepiej dostrzec z wysokości chóru. Rząd głów przesuwa się w kierunku człowieka w błękitnej koszuli; na spotkanie jego rąk. Dzieje się to w harmonii z

Ciąg dalszy na str. 6

DOTYK

Ciąg dalszy ze str. 5!

„I have a dream” Abby i niezmienna powtarzalnością ruchów healera. Właściwie w takiej chwili trudno byłoby nie wierzyć w skuteczność jego działania. Korowód nadziei płynie w niemal tancącym transie, Clive Harris panuje nad nim w sposób absolutny. W tej chwili — wraz z Herbertem von Karajanem prowadzącym swoich filharmoników w walcu Straussa.

W TYM koncercie czujemy się nieco dziwnie. Harris zgodził się na naszą obecność w czasie jego pracy. Jest to — jak nam mówią ludzie z jego poolu — ewenement. Podobno o jego nastawieniu decyduje aura człowieka, którego poznaje. W równym jednak stopniu o życzliwości dla nas przesądza rekomendacja Teresy O. Nie koniec jednak na tym. Healer godzi się także na wykonanie serii zdjęć, nawet z użyciem flesza.

— Sami panowie nie wiecie, jakcie macie szczęście — powie Teresa O. — bo pan Harris nie cierpi polskich dziennikarzy. Kiedyś udzielił wywiadu tygodnikowi stołecznemu, a potem nie mógł poznać swoich słów, poprzekracanych i innych włożonych mu w usta. Dlatego od lat nie zgadza się na jakiegokolwiek kontakty z prasą.

Proboszcz parafii św. Teresy, ksiądz Stanisław Chomicz, gospodarz spotkań Harrisa od kilku lat, upatruje dobry humor healera w tym, że miejsce to mu po prostu odpowiada, dobrze się w nim czuje. Podczas pobytów w św. Teresy opiekę nad Clivem Harrisem i jego najbliższym otoczeniem (w czasie obecnej wizyty z osiem osób) sprawują siostry zakonne ze Zgromadzenia Opactwa Bożej. Przygotowują one posiłki i noclegi. Jeżeli chodzi o menu uzdrowiciela, to opiera się ono na białym mięsie (cielęcina, indyk) i dużej ilości jarzyn. Pija także niewielkie ilości białego wina, głównie reńskiego. W czasie zabiegów co pewien czas posila się szklanką wody z miodem i sokiem cytrynowym. Je dwa posiłki dziennie: lekkie śniadanie przed przystąpieniem do pracy i „obiadokolację” po jej zakończeniu, kąpieli i przebraniu się. Spożywa ją w gronie kilku najbliższych współpracowników.

Wizyta Harrisa jest nie lada przedsięwzięciem organizacyjnym. Zaangażowanych w te działania jest około stu osób. Najbardziej widoczne są naturalnie służby porządkowe. Od pięciu lat zajmują się tym harcerki i harcerze z niezależnego harcerstwa, które w bieżącym roku przyjęło swój ostateczny kształt i nazwę Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej. Kieruje służbą Michał Stanowski, student V roku socjologii KUL. Dziś podlega mu pięćdziesiąt osób z Lublina, Świdnika, Kraśnika, Biłgoraja. Ich zadaniem jest nie tylko pilnowanie porządku i powstrzymywanie chętnych „przeniknięcia” do wewnątrz bez numerków. Kierują ruchem drogowym na ulicy Krochmalnej, pomagają osobom ciężko chorym, inwalidom, dzieciom.

— Robimy to z prawdziwą radością. Jest to służba bliźniemu w najczystszej formie, a przede wszystkim wychowywanie do takiej służby w przyszłości. Nie ukrywamy też, że silnym motywem naszego działania są motywy religijne. Wspomagając Clive'a Harrisa i jego misję wypełniamy także rodzaj posługi Bogu — mówi Michał Stanowski. — Chciałbym przy tym zwrócić uwagę, że nasza służba jest bardzo ciężka i odpowiedzialna, ohwilami — niewdzięczna. Dwanaście godzin w deszczu nie należy do przyjemności, podobnie jak konieczność zachowania spokoju, uprzejmości i uśmiechu wobec nie zawsze życzliwych nam ludzi. Często zdarza się, że chcą za wszelką cenę dostać się za ogrodzenie. Wkładają nam w kieszenie pieniądze, straszą, starają się oszukać, powołują się na swoje zasługi, pokazują nawet medale. Musimy być na to uodpornieni, stanowczy, ale zawsze uprzejmi i kulturalni. Myślę, że to się udaje.

Harcerze wiozą właśnie na wózku staruszkę, którą przywiozła karetka pogotowia. Ludzie na wózkach i noszach mają zawsze pierwszeństwo. Dobrze, jeżeli uda się ich zgromadzić o jednej godzinie, bo znakomicie ułatwia to zadanie Harrisowi. Bywa jednak różnie, zwłaszcza z pacjentami zamiejscowymi. Co robić wtedy? Nie wpuszczać? Ludzi tych gromadzi się na ławkach i czeka się, aż zwolnią się wózki. Przed chwilą właśnie młody człowiek z Białej Podlaskiej przywiózł młodszego brata, chłopca kilkunastoletniego z ciężkim schorzeniem nóg. Mają tylko jeden numer. Harcerze tłumaczą, że brat będzie zawieszony na wózku do kościółka, natomiast jego opiekun, niestety, będzie musiał poczekać na zewnątrz. Chłopiec jest właśnie odprowadzany na wózek.

Teresa O. podkreśla życzliwość lubelskich szpitali. Wielu pacjentów przywożonych jest, na ich życzenie, z oddziałów, w których są leczeni, po czym, po zabiegu bioenergoterapeutycznym, karetki odwożą ich z powrotem. Często sami lekarze korzystają z pomocy Clive'a Harrisa. Do rangi znanego symbolu urósł casus docenta K., znanego onkologa, który w obliczu zagrożenia chorobą nowotworową sam zdecydował się na kurację u Harrisa, mimo iż nie zaliczał się do jego zwolenników. Zresztą po co sięgać do historii. Pośród oczekujących dostrzegamy kilka znanych postaci

[Ciąg dalszy na str. 7]

JAK BARDZO CHCIAŁO SIĘ NAM TEJ POLSKI

CZY uboższe jest życie odane jednej sprawie? Wielu teraz tak myśli, a ja trzymam się starego. Wciąż wierzę w niegdysiejsze prawdy i w kilka nie do końca jeszcze przegranych wartości. Dobiegam dziewięćdziesiątki i nie czuję się zwolniony z tamtej przysięgi sprzed siedemnastu lat. „Przyrzekam całe swoje życie poświęcić Polsce”. Takie przyrzeczenie składa się tylko raz. A wierność przekonaniom wchodzi człowiekowi w krew, przenika do żył. Na całym świecie, gdzie tylko znalazł się harcerz, coś zaczynało się tworzyć. W obozie koncentracyjnym przystąpiłem do „trójki” prowadzącej radiowy nasłuch, bo to było potrzebne organizacji. W tę przysięgę wpisaną jest bowiem ryzyko i braterstwo. Czy jest w tym coś niezwykłego?

*

Pewnie dlatego historia ta zabrzmiała tak normalnie. Pełna była radości tworzenia, goryczy upadku i nigdy nie sprzeniewierzonej ludzkiej godności — jak w uczciwym życiu. Kiedy moim rozmówcą zatargał nagły płacz, odwróciłem głowę. Te lzy niczego jednak nie przekreśliły. Opowiedziany los pozostał twarzą odbity w skrawku zbiorowej historii; tak bardzo zwykłej i równie nienormalnej. „Tak właśnie jest, gdy przypomina się młodość”. Wokół nas rozbuchala się wiosna kolejnego, tym razem 1989 roku. Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki szykuje obecnym pokoleniom historia, która się wszak nie powtarza.

*

— Nazywam się Aleksander Wojno. Urodziłem się w 1901 roku, 26 lutego. Do harcerstwa zapisałem się 15 sierpnia 1915 roku. Kiedy chciałem służyć w Legionach, miałem 14 lat. Boję się, że obecnie w naszym ruchu mało jest porywów serca.

1.

Dziś trudno sobie wyobrazić, jak bardzo chciało się nam wówczas tej Polski. Wykuwaliśmy ją sobie na ćwiczeniach w sali „Sokoła” i w gimnazjum Staszica — u dyrektora Chmielewskiego. W Staszicu drużyna harcerska nosiła imię Waleriana Łukasińskiego. To była pierwsza lubelska drużyna. Pewnego dnia 1918 roku szedłem Krakowskim Przedmieściem i obok hotelu „Europa” zobaczyłem trzech austriackich żołnierzy. Podbiegłem do nich i zażądałem, by oddali broń. Popatrzyli na mnie — takiego nygusa — ze śmiechem. Wokół nas szybko jednak zebrał się tłumek. Z pomocą ludzi zabrałem im karabiny. Ci chłopcy oddali je chętnie. Dla nich to był także koniec koszmarnej nocy. Karabiny zaniosłem do pałacu Radziwiłłowskiego (później urzędował w nim Rydz-Śmigły, z dłu-

gą jeszcze wówczas brodą). Przydzielono je kompanii wartowniczej w Ogrodzie Saskim. Sam trafiłem pod magazyny na Tatarach, obok młyna Krauzego. Ludzie zaczęli bowiem rabować austriackie mienie, a przecież ono było już przeznaczone dla Polski. Zgłosiłem się na ochotnika i, gdyby zaszła potrzeba, nie zawahałbym się użyć broni. Uzbrowiono mnie w taki sam karabin, jaki jeszcze rano odbierałem okupantom. Warta miała się zmie-

każdego zdolnego do służby męskiej, który nie miałby mundur. „Cud nad Wisłą” to była siła woli, desperackie postanowienie, aby nie oddać stolicy. To uczucie i manewr Piłsudskiego przyniosły nam zwycięstwo. Cuda historii zawsze biorą początek w człowieku.

4.

Idę sobie po wojnie ulicą w Grudziądzu, na ramieniu blysz-

W SŁUŻBIE

Wiesław Horabik

niać co dwie godziny; przestałem na niej całą dobę. Nigdy jednak nie najadłem się tylu kanapek i nie wypilem takiej ilości gorącej, aromatycznej herbaty. Tak Polacy witali wolność, przebraną w mundur żołnierza.

2.

Koszary urządziliśmy w szkole, gdzie dziś mieści się Akademia Medyczna, przy 22 Lipca. Wynieśliśmy ławki, a posłania umościłiśmy ze słomy. Tak organizował się 23 pułk piechoty w Lublinie. Byli w nim marynarze, legionieści, strzelcy... Przysięgę składałem cztery razy, na cztery różne rządy. Najpierw na Tymczasową Radę Stanu, potem na Radę Regencyjną, potem na rząd Daszyńskiego, a potem na rząd Moraczewskiego. Tylko na Niemców nie przysięgałem. Niewielu z nas kwapiło się do tego. Do szkoły powróciłem, gdy Polska osadziła się już na dobre. Tej służby i, później, wojaczki bolszewickiej nie liczyłem potrójnie, jak się należy na wojnie. Gdybyśmy wówczas zbyt skrupulatnie rachowali lata, euforia swobody trwałaby mgnienie oka. Trzeba było ruszać na każde wezwanie.

3.

Często pytają mnie młodzi, co to był „cud nad Wisłą”. Zawsze odpowiadam im tak samo. Ten „cud” to był po prostu patriotyzm. Sam prowadziłem werbunek ochotników w swoim domu przy ulicy Probostwo (dzisiaj Szenwalda). Tej nocy, gdy bolszewicy podeszli pod samą Warszawę, pełniłem w Radzyminie służbę łącznika. Cała nasza armia, to było jedno wielkie zbiorowisko woluntariuszy. Czy mogliśmy znowu oddać pochwyconą dopiero co niepodległość? W Warszawie nie mógł się pokazać na ulicy żaden cywil. Wszędzie wisiały transparenty „Łaziuki na front!”, a kobiety zahukałyby

czy mi lilijka i widzę, jak zaczyna się koło mnie kręcić coraz większa grupka chłopców. Jeden z nich — rudy urwis — bierze na odwadę i pyta, czy jestem harcerzem. Powiadam, że tak i że jest tu nas cała grupa, że jest nas tu wielu. No to on, że też by chciał do tego harcerstwa. Zgłosiła się ich cała masa; jakiś Stankiewicz — zegarmistrz, który miał dwóch synów i przysłał ich obu, a nawet ludzie o niemieckobrzmiących nazwiskach. Drużna Chojnowska spod Wilna zakładała harcerstwo żeńskie. Tak zostałem pierwszym drużynowym miasta Grudziądz. Wtedy nie było mowy o delegowaniu kogoś w szereg, by wy kierować go później na dyplomację. „Góra” była najmniej ważna. To na dole aż buzowało od energii.

5.

Harcerstwo jest jak sama młodość. Czy człowiek może zapomnieć okres swych największych uniesień? Czy wciąż nie odzywa się w nas nostalgia za intensywnością uczuć? Obozy, złoty, międzynarodowe jamboree — „wielka przygoda”, która wiąże ludzi i nadaje życiu barwę. Wciąż widzę te zasłuchane twarze i wsłuchuję się w te bijące serca. Wówczas odmienia się coś we mnie i na nowo nabiera siły i wiary. Nosiliśmy w sobie otwartość i wiele radości. Na skautingowych mitingach w Anglii, Szwecji, Holandii, na Węgrzech. Nazwałem to „przeżywaniami harcerstwa”. Czy kto, kto naprawdę coś przeżył, może się temu sprzeniewierzyć? Czy może porzucić jakąś część siebie? Gdzie są dziś niedawni harcmistrze, druhowie, zastępowi? Jaką legendę wpisali w swój życiorys? W 1926 roku dostałem stopień podharcmistrza, a w 1936 — harcmistrza. To była długa

LISTY - POLEMIKI

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

Jestem pełen uznania w związku z podjęciem sprawy wyjaśnienia wielu ponurych spraw lubelskiego Zamku w latach 1944—54. W dniu 17.01.1945 w więzieniu tym został rozstrzelany mój ojciec Marian Czesław Zawidzki ur. 1.04.1898. Przed wojną był

kuratorem Wydziału Ośw. Publ. na woj. śląskie w Katowicach. Spodziewając się prześladowań ze strony gestapo za przeciwstawianie się germanizacji szkolnictwa na Śląsku, we wrześniu 1939 cała nasza rodzina znalazła się w Lublinie. Początkowo mieszkaliśmy na ul. Wieniawskiej 2, a po utworzeniu w tym rejonie dzielnicy niemieckiej, zostaliśmy przesiedleni na ul. Lubartowską

24 m 10. Ojciec w czasie okupacji prowadził biuro pisanie podań do władz. Przez cały okres naszego wojennego pobytu w Lublinie związany był z redagowaniem prasy podziemnej ZWZ-AK. Podobno po zakończeniu wojny miał objąć stanowisko wojewody olsztyńskiego z ramienia Rządu RP w Londynie. Od listopada 1944 miał być zatrudniony jako profesor języka angielskiego i niemieckiego w gimnazjum Staszica. Aresztowany przez NKWD w połowie listopa-

droga. Dlaczego dziś nasz ruch ma głowę, a pozbawiony jest nóg? Czy rozumie pan już teraz rozłam, brak autentyzmu i beznadzieję?

6.

Druh Zawadzki przyjechał z Warszawy zaraz, jak tylko utworzono Szare Szeregi. Zabrałem go do domu. Przyszła rozkaz, byśmy zeszli do podziemia. Niemcy panoszyli się już wszędzie, a młodzi chłopcy zbierali broń. Rwali się do czynu. Ale tą krwią nie wolno było zasać bezmyślnie. Powstały konspiracyjne „trójki”, przyjęliśmy pseudoni-

Na podwórku zamkowym zabrakło mi szczęścia. Niektórych wypuszczono. Kiedy mówiłem szefowi transportu o mojej pracy dla gubernatora, ktoś krzyknął po polsku na cały dziedzi- niec: „Ej ty, Wojno, nie bądź taki cwany. Takich gagatków to my nie puszczaemy”. Nad głowami tłumy sterczała uśmiechnięta gęba gestapowca Millera, przed wojną sędziego w polskim sądzie. Nawet go dobrze nie znałem, ale on wiedział o mnie wszystko.

Polska. Trwała wielka gra polityczna — od samego początku.

10.

Po przyjeździe do Lublina zostałem dyrektorem budowy fabryki samochodów. Moja gehenna obozowa broniła mnie przed „pomyłką” władzy. Wielu dawnych harcerzy poszło do więzienia, wielu zaginęło bez śladu. Mnie co najwyżej przeszkadzano w pracy, grożono i indagowano. W 1956 trafiłem do Komendy Chorągwi i zostałem delegatem na Walny Zjazd w Łodzi. Na tym zjeździe wybrano mnie do Naczelnej Rady Harcerskiej. Przez dwa lata pracowałem w Komisji Rewizyjnej. Odejście nas, starych zorganizowano bezboleśnie. Po prostu nie zgłoszono naszych kandydatur na kolejną kadencję. Teraz potrzebowano innych ludzi. Przysięga była inna i zwyczajnie inne. Pogubiła się gdzieś spontaniczność i naturalny entuzjazm. Statystyki puchły, choć działań było niewiele. Jeszcze jedna agenda do tworzenia życia „od góry”. Ale ja do dziś jestem w grupie instruktorów „Szaniec”. Jeśli ktoś zarazi się harcerstwem, nie można go wyleczyć. To takie dobre opium na całe ludzkie życie.

*

Pan Aleksander pochyla głowę. Milczymy długą chwilę.

Czas z nienormalności wydobywa normalność, wygląda wszystkie kanty, zgrubienia i garby. Oto podstawowa prawda o naturze człowieka. Czy jeden z milionowych przypadków głosi trwałą prawdę? „Może pan zadzwonić wcześniej rano, albo późnym wieczorem. Nie potrafiliśmy przesiedzieć dnia nie robiąc, w bezruchu. Jeszcze mnie nikt nie uwolnił od dawnych nawyków”. Czy to nie sposób na życie?

*

— Mundury są te same, i krzyż, i lilijka. Hasła są te same i prawdy te same. Ostatnio wiele spraw skorygowano na lepsze. Obawiam się tylko, że w tym roku wciąż za mało czucia. Czy można mieć monopol na spontaniczność reakcji? Dziś wielu młodych ludzi szuka ideałów. Trafiają do Kościoła, wpadają w narkomanie, wychodzą na ulicę. Wielką naturalną szansę zgubiono po drodze. Porwały się więzi międzyludzkie i państwowe. My byliśmy częścią ogromnej wspólnoty. Trzeba odbudować w harcerstwie autentyzm i wiarę. Osobiście nie znam lepszego sposobu służenia krajowi. Czy może pan zatrzymać rozhukaną wodę? Można jej tylko pomóc rozlać się swobodnie. Chciałbym, żeby już nigdy nie zapomniano o takich prostych prawdach. Kto bowiem wie, jakie jeszcze próby postawi przed tym wątłym krajem przyszłość. Kto wie, jaki jeszcze egzamin zdać będą musieli dzisiejsi dumni i butni. Czy można obronić naród, kłócąc się z narodem?

JEDNEJ PRAWDY

Przed wojną prowadziłem roboty budowlane i kiedy zadzwonił do mnie volksdeutsch, żebym pracował dla Niemców, wyraziłem zgodę. Tak mogłem być organizacji najbardziej przydatny. Zebrałem grupę harcerzy i gro- no przyjaciół. Mieliśmy remontować willę dla gubernatora dystryktu. To była tarcza przed łapankami i wywózką. Kiedy raz zabrali mi chłopców, pobiegłem do adiutanta i udało mi się ich ocalić. Skrzywnkę kontaktową mieliśmy przy Krakowskim Przedmieściu, a szyfr do kontaktów z Warszawą przy sobie. 20 czerwca nocą przyszło po mnie dwóch; jeden w mundurze, drugi po cywilnemu. Przeprowadził ich do zorca. Ten cywil mówił dobrze po polsku. „Kiedy oddacie mi syna?” — zapytała matka. „Wróci ci za dwadzieścia minut” — odparli. Te dwadzieścia minut trwało siedem lat.

7.

Stoję na Zamku na pierwszym piętrze w korytarzu, twarzą do ściany. W kieszeni marynarki mam szyfr. Tak mnie zaskoczyli tej nocy, że nie zdążyłem go zniszczyć. Kolejni nieszczęśliwcy wędrują do kancelarii na rewizję. Gestapowiec przechodzi wzdłuż szeregu, a nam nie tylko nie wolno się odwrócić, ale nawet drgnąć. Kiedy znalazł się w drugim końcu korytarza, zarzykowałem. Od razu natrafiłem na tę karteczkę. Zrobiłem z niej kulkę i włożyłem do ust. Pan jeszcze pewnie nie wie, jak trudno przelknąć coś dziesięciokrotnie, który się bardzo boi. Powtarzałem sobie, że muszę, że nie mam innego wyjścia. Przeżyłem wtedy dramat, ale uciekłem śmierci. Przez dziesięć dni aresztu straciłem dziewięć kilo wagi. Co chwila wrzucali do cel strzepy ludzkie, a więźni nie wróciło z przesłuchań.

8.

Kapo w Sachsenhausen obiecał mi śmierć. Złamał mi dwa żebra, wciąż czatował, żeby mnie pobić, ostateczną rozprawę odkładał. Przed Bożym Narodzeniem szukano statyka. W obozie pracowałem jako murarz, ale statyki uczyłem się w szkole. Trafiłem do transportu.

W Dachau pracowałem w biurze projektów. Może dlatego przeżyłem te pięć lat. Choć raz zbiłem szybę do wyświetlarki, a potem przystąpiłem do obozowej konspiracji. Tam też znajdowali się harcerze i trzymali się razem. Naszym dobrym duchem był blokowy — Austriak. W ostatnim roku kategorii prowadziłem nasłuch radiowy. Wiem, że cokolwiek powiedziałbym o tamtych latach, zabrzmiałoby niedobrze. W ludzkiej pamięci przeszłość nigdy nie chowa się długo. A czy ktoś wie naprawdę, co jeszcze skrywa przyszłość? Tyle już słów powiedziano, że tylko dodam, iż harcerstwo zdało swój najtrudniejszy egzamin. Wierność jego ideałom wielu pozwoliła przetrwać, a innym dała szansę napotkania godnej, bohaterskiej śmierci.

9.

W amerykańskiej strefie okupacyjnej miałem cztery drużyny: w Fuldzie, w Monachium, w Reutlingen i w Hesji. To była komenda okręgu Południowe Niemcy. Nawet nie musiałem organizować tego harcerstwa; wystarczyło tylko zebrać ludzi, przejąć te hufce, które już się utworzyły na terenie Niemiec. Napisałem o tym książkę. Ma się niedługo ukazać. Wraz z „unormalnieniem” życia, wróciła normalność pragnień. Po obywateli Luksemburga przyjechał sam książę, po Rosjan — generał, o nas — długo nie upominała się

miejsca ich pochowania. W dniu 13.11.57 Naczelna Prok. Wojs., na wniosek złożony przez matkę odpowiada, że brak podstaw do złożenia wniosku o rewizję wyroku. W ubiegłym roku rozpocząłem ponowne starania o rehabilitację ojca i aktualnie Naczelna Prok. Wojs. przesłała do Prok. Generalnej wniosek o rewizję nadzwyczajną.

W czasie działalności konspiracyjnej ojciec współpracował blisko z płk. „Tulaczem”, który był aresztowany przed ojcem i wkrótce zwolniony, a po wojnie przez

kilka lat był urzędnikiem NBP w Katowicach. Do chwili obecnej nie wiem, jaki był los mego ojca w dwóch ostatnich miesiącach jego życia oraz jakie ciążyły na nim zarzuty. Może podane przeze mnie skąpe fakty złożą się na pełniejszy obraz ludzi więzionych na Zamku. Byłbym także bardzo zobowiązany za przesłanie wiadomości o Mariannie Czesławie Zawadzkiej.

Jerzy Zawadzki
42-480 Poręba
ul. LWP 43

da 1944 początkowo więziony był na ul. Lipowej (?), a następnie na Zamku. W grudniu 1944 polski strażnik z Zamku przekazał mojej matce „gryps”, w którym ojciec powiadamia nas, że został skazany na karę śmierci. W styczniu 1945 urwał się kontakt z ojcem (przez strażników więziennych). Dopiero w dniu 8.04.1946 matka otrzymuje pismo nr 1561 podpisane przez Prezesa Najwyższego Sądu Wojs. WP płk. Michniewicza, że ojciec „umarł” w dniu 17.01.45. Nie wydano zwłok, ani nie ujawniono

DOTYK

Ciąg dalszy ze str. 6

lubelskiego środowiska medycznego. Jeden z docentów nie mogąc ukryć swojej obecności mówi: „Wie pan, redaktorze, nigdy nie wiadomo, jak to jest naprawdę. Nie wiem czy pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi”. I to trzeba zrozumieć. Ignorancja i arogancja oparte na przeświadczeniu o własnej wszechwiedzy nigdy nie były słupami milowymi postępu. Także w medycynie...

Na pytanie skierowane wprost do ludzi z poolu Harris, ci bez chwili wahania potwierdzają, iż leczył on wiele postaci publicznych, m. in. Leonida Breżniewa i Edwarda Gierka. Jeżeli zaś idzie o lokalnych notabli, to też korzystają, ale w porach zdecydowanie porannych.

POLSKA jest krajem, w którym Harris czuje się szczególnie dobrze. Tu cieszy się wyjątkową renomą. Swego czasu czynione były próby porównywania efektów terapeutycznych Harris i Nardellego, najbardziej znanego polskiego healera. Stanisław Nardelli zabiegał o spotkanie z Clivem Harrisem. Szansa taka rysowała się nawet w Lublinie, kiedy obaj niemal równocześnie uzdrawiali. Harris na Krochmalnej, a Nardelli na Czubach. Niestety, Anglik nie znalazł czasu.

Pozycja Harris w Polsce wydaje się mieć silne oparcie w jednoznacznym powiązaniu jego misji z Kościołem i wiarą. A także, co wielce prawdopodobne, z dezaprobatą społeczną dla stanu leżnictwa w Polsce oraz przeświadczeniem o jego możliwościach. Trudno byłoby wskazać inny, poza naszym, kraj, w którym londyński uzdrowiciel cieszyłby się podobną estymą. Notabene mało kto wie, że Clive nie jest bynajmniej katolikiem, a anglikaninem. Nie wiąże się z żadną instytucją kościelną, choć jest głęboko religijny i swą misję traktuje jako formę pośrednictwa pomiędzy łaską bożą, a cierpiącymi.

Niedawno Clive Harris był gościem papieża Jana Pawła II, który wyraził uznanie dla jego misji i udzielił jej błogosławieństwa.

Znowu pada. Ludzie, po wyjściu z drzwi zakrytymi rozpinają parasole. Jest 15.15.

— Jestem u Harris już czwarty raz. Leczę się z powodu nowotworu piersi. Został zdiagnozowany przed dwoma laty i proponowano mi amputację. Nie zgodziłam się i postanowiłam skorzystać z kuracji bioenergoterapeuty. Dziś mogę powiedzieć, że jest wyraźna poprawa. Guz zmniejszył się znacznie — mówi wychodząca kobieta w wieku około 35 lat.

— Nic mnie nie bolało. Tylko gorąc poczułem okropny w kolanach, a numerek miałem na wątrobie. Chyba on, panie, pomaga na wszystko. Zrobiło mi się słabo i wyjść sam nie mogłem — przekonuje nas rolnik z Janowa Lubelskiego.

— Leczymy dziecko u pana Harris z powodu padaczki. Po trzech zabiegach stwierdzamy, że ataki występują rzadziej i mają znacznie łagodniejszy przebieg — mówią rodzice kilkunletniej dziewczynki z Puław.

— Nie wiem czy to pomaga. Nic nie czułem, nic nie czuję. Może się później co okaże? Leczę się na korzonki — mężczyzna, 41 lat.

— Przychodzę do niego od pięciu lat i nic mi nie pomógł. Cierpię na migreny, nie mogę spać, męczę się strasznie. Chyba już więcej się nie zapiszę, bo to chyba nie ma sensu... — kobieta przed trzydziestką wydaje się być sceptycznie nastawiona do skutków terapii.

Jako szczęśliwi posiadacze numerków z napisem „HEAD” sami postanawiamy ustawić się w kolejce. Zgodnie z instrukcją trzymamy kartki w prawej ręce podniesionej nieco do góry, żeby łatwo mogła je odebrać tłumaczką pomagająca Harrisowi. Przed nami około trzydziści osób, zostaniemy więc dotknięci za około dwie i pół minuty. Z głośników płynie „Granada”, Ogarnia nas stan pewnego podniecenia. W krótkim czasie cała wiada o uzdrowicieli ulega skumulowaniu, kondensacji i pozostaje to „a może jednak”. Jako pierwszy podchodzi Leszek. Z ust tłumaczki pada: „head”. Clive natychmiast obejmuje go za skronie i trzyma około dwóch sekund. Potem — czoło i potylicę, a następnie ciemię i podbródek. Na koniec patrzy przez chwilę prosto w oczy i po polsku mówi: „dziękuję”. I wtedy odnosi się wrażenie, iż jest się osobą w tej chwili najważniejszą... Podobnie jest z drugim z nas. W czasie dotyku myślę o potrzebie jakiegoś podziękowania healerowi. Czasu cholernie mało i jedyne co przychodzi do głowy, to odpowiedź: „thank you” na jego „dziękuję”. Istotnie robi to wrażenie, bo Clive odpowiada również angielskim „dziękuję” i dodaje: „powodzenia” („good luck”). Kontakt ulega przedłużeniu jeszcze o trzy — cztery sekundy. Być może przez tych kilka sekund nie byłem dla niego jednym z wiotkiej anonimowej grupy, myślącym tylko o sobie i swej chorobie.

Wrażenia. Leszek po zabiegu utrzymywał, że nie czuł nic. Jedyne co zapamiętał, to ciepło dłoni Harris. W moim przypadku sprawa ma się nieco inaczej. Przede wszystkim zapamiętałem dłoń Harris jako wręcz chłodną, co wywołało lekki ruch głó-

Dokończenie na str. 8

DOTYK

Dokończenie ze str. 7

wy do tyłu, tak jak bym chciał uniknąć tego spotkania. To wrażenie szybko ustąpiło. Po zabiegu nie czułem żadnego przyływu ciepła, jak u niektórych pacjentów. Tego jednak dnia miałem silny katar, z ropnym wysiękiem z zatok. W jakieś dziesięć minut po dotyku poczułem nasilający się ból głowy i spadek koncentracji. Jeżdżąc tego dnia samochodem dostrzegłem to jeszcze wyraźniej na popełnianych błędach w ruchu. Ból utrzymywał się przez około siedem godzin. Nazajutrz jednak zauważyłem zdecydowaną poprawę: ustąpił katar, a dolegliwości zatokowe również wyraźnie się zmniejszyły. Naturalnie wszystko to może być sugestia, bo może akurat dotyk zbiegał się w czasie z ustępowaniem objawów. Nawet jednak jeśli tak było, pozostaje pytanie: „czy była to zbieżność przypadkowa?” I tu już nie ma mądrych.

O 17.30 okazuje się, że leczenie nie zakończy się punktualnie. Właściwie było wiadomo, że tak będzie już wcześniej. Fatalna pogoda raz dająca nadzieję przejaśnieniem i ustaniem deszczu, za kilkanaście minut oblewa oczekujących prysznicem. Zupełnie jakby chciała wystawić ich na próbę cierpliwości. Okazuje się również, że wydano więcej numerków. Ostatni wchodzi do kościoła o 19.10.

KWADRANS później Clive Harris spotyka się z ludźmi organizującymi jego wizytę. Są harcerze, siostry, wolontariuszki pomagające Teresie O., lekarze i pielęgniarki (służba medyczna nie miała tego dnia zbyt wiele pracy: nie było po zabiegu omdleń, ataków). Healer otrzymuje kwiaty. Dzieje się to przy dźwiękach gitary i pieśni śpiewanych przez harcerzy. Mimo zmierzchu atmosfera jest pogodna i relaksowa. Clive wkłada kurtkę, popija kilka łyków wody z miodem i cytryną. Zapada cisza.

— I znów to, co zobaczyłem w waszym Lublinie — mówi powoli akcentując znaczenie słów — to, co się tu odbyło, napawa mnie optymizmem i radością. Trudno byłoby znaleźć inne miejsce, w którym czuję się tak dobrze jak z wami, moi przyjaciele. Każdemu z was, z całego serca dziękuję, że chciał podzielić ze mną ten czas, ofiarować go ludziom cierpiącym i szukającym nadziei. Przepraszam, że może ten dzień okazał się dla nas dłuższy niż planowaliśmy. Chciałbym też powiedzieć parę słów o informacji w „Kurierze”.



Fot. Waldemar Stępień

z której wielu rozumiało, iż jest to moja ostatnia wizyta w Lublinie i w Polsce... Otóż, Clive Harris odbiera życie jako dar boskiej opatrności. Żyje po to, aby pomagać ludziom, wszystkim ludziom i wszędzie na świecie. I w Afryce, i w USA, i w Polsce. Nie sądzę, aby ludzie w Polsce byli inni niż gdzie indziej. Jeżeli więc mnie potrzebują, nie mogę im odmawiać. Nie mogę odmawiać czegoś, co nie do mnie należy, a do Boga. Jeżeli mnie tolerujecie, będę w listopadzie.

Kościół wypełnił się oklaskami. Część harcerzy uklęka przed ołtarzem. Michał Stanowski wręczył Clive'owi Harrisowi koszulkę ze znakiem międzynarodowego skautingu. Przez kilkanaście następnych minut healer serdecznie zajął się terapią organizatorów.

OKOŁO godziny 21 na plebanii pojawiły się samochody z Nowego Sącza, który był następnym etapem trasy uzdrowiciela. Potem — Łudźmierz, Wrocław itd. Powrót do Londynu pod koniec miesiąca, przesiadka na samolot do Afryki. Powrót, przesiadka na lot do Nowego Jorku, gdzie czekają cierpiący na AIDS. Powrót, przesiadka. Przesiadka, powrót. I raz na jakiś czas telefon do rodziców czterdziestoletniego healera, farmerów mieszkających sto mil od Londynu. I znów lotnisko.

Gdybyście chcieli zrobić mu prezent z biletów wizytowych, powinny zawierać tylko tyle: „CLIVE HARRIS, w misji”.

Waldemar Piasecki
Leszek Wiśniewski

Dokończenie ze str. 1

tniego wyniku! mniej więcej wiadomo. Natomiast milczy się na temat kosztów, jakie placili i placą ludzie...

U. Wich: — Radioaktywne pyły z Zakładów Metalurgicznych spadają nie tylko na Lublin, ale także na Świdnik.



Urszula Wich

T. Sobieszek: — „nie mówi się o bezpowrotnym niszczeniu kilkusetletnich kamieniczek, zagarzaniu urodzajnych gleb, ani o tym, że jesteśmy na progu katastrofy jeśli chodzi o stosunki wodne. Przypomnę fakty: jeszcze przed wojną jeździło się na Sławinek „do wód”, w rozumieniu — mineralnych. W latach 50. wybudowano tam ujęcie wody dla celów komunalnych, po pewnym czasie w całej okolicy znikła woda ze studni. Pierwszą wioską w Polsce, która otrzymała wodociąg, była właśnie Wola Sławińska. Z dumą donosiła o tym ówczesna prasa, przemilczano jednak powód, dla którego zbudować trzeba było ten wodociąg. Od tego czasu lej depresyjny w okolicach Lublina jeszcze pogłębił się. Nie ma więc warunków do lokowania tu przemysłu.

J. Kostka: — A dlaczego? Przecież bez wody, w rozumieniu: w dużych ilościach, opływa się wiele gałęzi przemysłu.

T. Sobieszek: — Mam tu na myśli przemysł ciężki, już ulokowany w Lublinie i zamierzany na przyszłość. Jestem natomiast za elektroniką i zbliżonych do niej gałęzi przemysłu, przywołałbym lubelskie tradycje m.in. jubilerskie i kuśnierskie, ale przede wszystkim stawiałbym na — w pełnym tego słowa znaczeniu — przemysł turystyczny. Lublin jest uznanym centrum turystyczno-krajoznaw-



Tadeusz Sobieszek

czym, niedoskonałym ze względu na słabość gastronomii i

brak miejsc noclegowych. Jest to — jak świadczą przykłady — opłacalny kierunek inwestowania. Dalej: Lublin stanowi naturalne zaplecze recepcyjne dla Warszawy, 170-kilometrową odległość dobry autokar pokonuje w dwie godziny. Godząc się na funkcję miasta-satelity (mają warszawiacy swoją siłę przebicia), pewnie byśmy na tym wygrali. Moim zdaniem, turystyka w połączeniu z recepcją jest atrakcyjną pod każdym względem szansą dla Lublina przełomu XX i XXI wieku.

T. Jaworski: — Jestem lubliniakiem, który czterokrotnie opuścił to miasto, także dlatego, że — jak sądziłem — gdzieś jest lepiej i mądrzej. A gdy wracałem stwierdzałem nieodmiennie, iż mieszkam w jednym z piękniejszych miast w Polsce. Ale też za każdym powrotem do-

strzegalem, że Lublin stracił na urodzie, że gorzej jest zagospodarowany i marniej rządzony, choć przy ogólnopolskiej tendencji znikowej prezentował i prezentuje względnie przyzwoity poziom.

Co charakterystyczne przy niekwestionowanej urodzie niektórych dzielnic (poszczególne fragmenty LSM, Kalinowszczyzny, Czubów) następowała, pogłębiająca się z roku na rok, degradacja środowiska. Skąd to się bierze? Na całym niemal świecie z racji wartości pieniądza i przy dostatku towaru, centrum jest szalenie atrakcyjne. Tu są najdroższe mieszkania, wytworne sklepy i usługi, salony sztuki itd. U nas natomiast handluje się przysłowiową pietruszką — jak wspomniał pan Sobieszek: przy głównym trakcie urzędują fryzjerzy i fotografowie — a przy tym wszystkim „substancja mieszkaniowa” objęta została własnością komunalną. Jeszcze inny aspekt tej sprawy. Lubelskie elity na ogół pochodzą spoza Lublina. Ci, którzy przyszli „od Chełma” popierali Chełmiaków, ci od Lubartowa, Kraśnika, Puław — swoich. Zaowocowało to między innymi upychaniem pod jeden dach różnych przyjaznych sklepów i sklepików, biur, fotografów i fryzjerów — lokatorów wszelkiej maści. W tej sytuacji np. Teatr Muzyczny, nie dość że nie posiadał własnej sceny, nie mógł dobić się tak potrzebnych mu dodatkowych pomieszczeń, mimo że za ścianą siedziby dyrekcji zwalniały się pokoje.

Pół biedy, gdyby sytuacja ta świadczyła tylko o obyczaju. Jednak ulokowanie pod jednym dachem kilku czy kilkunastu instytucji powodowało, że wszyscy czuli się lokatorami, a nikt, gospodarzem, który troszczy się o elewację, rynek, schodek, trotuar czy trawnik. Przypomnijmy sobie lata 50. i 60. Szczytem marzeń było wówczas móc zamieszkać przy ul. Grażyny. Rozpoczął się exodus do nowych dzielnic z centralnym ogrzewaniem, gazem, trawnikiem przed domem. I w ten sposób centrum miasta pustoszało, stając się w dużej mie-

rze zapleczem dla rodzin z walących się, albo przeznaczonych pod wyburzenie domów, tu także lokował się margines społeczny.

J. Gurbel: — Też potwierdzam degradację — wybitnych przed laty — wartości urbanistycznych i architektonicznych Lublina. Winiłbym za to ludzi odpowiedzialnych za politykę inwestycyjną. Przykłady chybotliwych decyzji, które przytoczę, może już nawet nie rażą. Przez lata całe przywykliśmy do nich. Do najpoważniejszych błędów przeszłości zaliczam zdemastrowanie Ogrodu Saskiego przez wybudowanie na jego terenie gmachu KW PZPR. Przynajmniej dyskusyjną jest lokalizacja hotelu „Victoria”, biurowca przy ul. Karłowicza, „szklanego” wieżowca psującego krajobraz Podgórzia. Szpetota straszą najnowsze nawet nabytki lubelskiego centrum: gmach przy zbiegu

PALIMY

ulic Okopowej i Narutowicza, dobudówka Urzędu Skarbowego przy ul. Sądowej. Pozytywnych przykładów mogą wymienić tylko trzy: plac Zebrań Ludowych, Fronton KUL i — po niedawnej rozbudowie — niewielki obiekt należący do zakonnic, znajdujący się przy ul. Ogrodowej.

RELACJE: — A może my w tych ocenach popadamy w przesadę? Jak widzą nas i nasze miasto ludzie przyjeżdżający do Lublina?

T. Sobieszek: — Jestem przewodnikiem z 25-letnim stażem; prowadząc badania w zakresie ruchu turystycznego przez osiem lat analizowałem rocznie około 4 tys. różnych dokumentów, w których odwołując się do Lublina odpowiadał na pytania: skąd przyjeżdżają, czego oczekiwali, gdzie jedli i gdzie nocowali, z jakimi wrażeniami opuszczają nasze miasto. Jakże wnioski? Wielu oczarowanych było „staropolską zycziwością”, uznanie budziły zabytki, ale już nie ich stan, fatalne wrażenie zostawiała gastronomia, nie lepsze hotele i handel, nikt nie może polapać się w zawiłościach komunikacyjnych, a tym bardziej zrozumieć dlaczego jeździć i chodniki mają tak koszmarną nawierzchnię.

Panie prezydencie, również od pana otrzymałem polecenie oprowadzenia różnych delegacji. Proszę mi wierzyć, że dokonuję cudów prowadząc je przez Stare Miasto tak, żeby nie pokazać tego, czego wstydzić się jako mieszkaniec Lublina. Opowiem, jak to wygląda w praktyce: plac Łokietka. Wataha pijaczków już od rana podiera Bramę Krakowską, która — jak powiadają niektórzy — dzięki temu jeszcze stoi. Idziemy ulicą Bramową, czyli dawnym szlakiem królewskim. Zwiędzając powinniśmy patrzeć na trzy poziomy — pod nogi, na wprost i w górę. Nikt nie patrzy w górę, niekiedy tylko na wprost, a cały czas pod nogi. Bruk, zrywany parę razy do roku, nigdy nie został potem równo ułożony. Nie rozumiem też dlaczego materiały budowlane trzeba wozić na Stare Miasto samochodami 10-tonowymi, a nie transportem elektrycznym z magazynów urzędowych — to ważne — poza Starówką. Konsekwencją tego stanu rzeczy są wyrwy w nawierzchni, zawalenia piwnic i — w rezultacie — awarie. Miliony ze skromnego budżetu miasta idą, dosłownie, w błoto.

Na tym królewskim szlaku wszechobecne są śmieci, a magazynowanie ich odbywa się — o ironio! — w Bramie Grodzkiej. Ilekroć przechodzę tędy z wycieczką odwracam uwagę, opowiadam dowcipy, aby jak najszybciej minąć to smietnisko. Mieszkający tu ludzie chcą mieć pojemnik pod samymi drzwiami, ale na to nie można się godzić. Moim zdaniem należałoby zrobić tu system zsyków w stronę ul. Podwale.

Wiem, że wymiana lamp ulicznych daje efekt do czasu najbliższego ataku wandalii. Ale coś z tym, jak również z wandalami, będącymi postrachem dla ludzi i wyremontowanych kamienic, zrobić należy.

RELACJE: — Z sumy dotychczasowych wypowiedzi wyłania się portret Lublina z jego deformacjami. Proponujemy, by po tej diagnostyce

LUBLIN

części dyskusji, podjąć próbę opisanego Lublina takiego, w jakim chcielibyśmy być oraz dróg do tego prowadzących.

J. Gurbiel: — Dlaczego Lublin tak słabo broni się przed szpetotą? Jednym z powodów takiej sytuacji jest — co zaskakuje — brak planu szczegółowego rejonu śródmieścia, który spełnia funkcję podstawowego mechanizmu obronnego w tym względzie. Prace dopiero się rozpoczęły...

J. Kostka: — A zostały wymuszone na władzach krytyka społeczna.

J. Gurbiel: — Przez najbliższe 2-3 lata, czyli do momentu przyjęcia planu szczegółowego, wydawaniu decyzji



Jacek Gurbiel

lokalizacyjnych i zatwierdzeniu planów realizacyjnych towarzyszyć będzie partykularizm różnych grup nacisku. Są one dziś w dobrej dla siebie sytuacji, a fatalnej dla miasta, gdyż obowiązuje następująca teza: postawienie zbyt wygórowanych wymagań (architektonicznych, urbanistycznych) spowoduje zaniechanie budowania w śródmieściu, co jest „gorszym” złem.

Jest rzeczą kuriozalną — nawet w skali kraju — że w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie zostało wykonane dla śródmieścia Lublina ani jedno opracowanie architektoniczno-studialne; wreszcie, że dla inwestycji w obszarze śródmieścia nie określa się wymagań jakościowych tak dla projektowania jak i wykonawstwa.

Tytułem ilustracji: zwołuje się Wojewódzką Komisję Urbanistyczną - Architektoniczną dla oceny kaplicy o powierzchni 100 m kw. w miejscowości Pożóg, a nie poddaje się takiej ocenie całych zespołów mieszkalnych czy

mieszkalno-usługowych w samym sercu Lublina.

E. Leńczuk: — Zgadzam się z tym, że bardzo różnie żyje się w centrum, ale naszym, administracji miejskiej, obowiązkiem jest widzieć jakość, stan i poziom życia w całym Lublinie. Ażebyśmy za krótszy czy dłuższy okres czasu nie stanęli przed dramatem. Dlatego też na terenie miasta wyodrębnionych zostało siedem terenów zdegradowanych, co oznacza w praktyce wyburzenie istniejącej zabudowy i przeznaczenie tych terenów na określone cele, w tym pod budownictwo, zważywszy istniejące tam uzbrojenie i jako taką infrastrukturę. Są to: rejon Pogodnej (kilka tysięcy mieszkańców, zabudowa z początku wieku i wcześniejsza), Bronowice Stare — lewa strona ul. Łęczyńskiej, następnie — rejon rogatki warszawskiej, wschodnia część ul. Kunickiej-

go (ul. Wspólna i sąsiednie), Podgrodzie, obszar Wapiennej i Dzierżawnej oraz teren w sąsiedztwie osiedla Nalkowskich, gdzie już zlokalizowane zostały małe spółdzielnie mieszkaniowe.

I chyba nie ma wątpliwości, że wszystkie możliwe środki miejskie powinny być skierowane przede wszystkim na konsekwentną przebudowę tych obszarów — likwidację slumsów i realizację zaplanowanej budowy mieszkaniowej. Także — nie nadużywając wielkich słów — by stało się zadość sprawiedliwości społecznej. A jako że ostatnimi czasy poszerzyliśmy granice miasta, naszym obowiązkiem jest również przyjrzeć się jakości życia na terenach przyłączonych do miasta. A rzecz dotyczy 10 tys. ludzi.

U. Wich: — Jestem przeciwna temu „pożeraniu” przez miasto — kolejnym zresztą raz — nowych terenów. Wynika to z błędnej, niedostosowanej do potrzeb Lublina koncepcji jego rozwoju. Mimo prób przeforsowania koncepcji pasmowej, Lublin ciągle pozostaje miastem koncentrycznym. Puchnie, obrastając w nowe dzielnice, brakuje w nim mieszkań i miejsc pracy, niewydolną stała się komunikacja (via centrum), gdy tymczasem pobliskie tereny wiejskie wyludniają się. Dlatego więc nie może przebić się propozycja stworzenia miast satelitarnych, połączonych z Lublinem infrastrukturą komunikacyjną?

E. Leńczuk: — Dla mnie teza miast satelitarnych jest



Edward Leńczuk

dotąd bliżej niesprawdzalna w praktyce. Próby były podjęte. Zaproponowaliśmy na terenie gminy Wólka, a bliżej — w Turce odległej od granic Lublina o 15 km, małe miasteczko satelitarne dla około 1,2 tys. rodzin. Byłoby

tam budownictwo jednorodzinne, zapewniamy pełną infrastrukturę. Z propozycją zamieszkania tam zwróciliśmy się m.in. do pracowników lubelskich uczelni. Odpowiedź była w zasadzie jedna: nie! Choć z próby tej nie zrezygnowaliśmy, jednak — głównie ze względów ekonomicznych i społecznych, o czym mówiłem wcześniej — budować będziemy przede wszystkim w granicach Lublina.

Krytykowana przez panią decyzja o zmianie granic administracyjnych miasta była koniecznością. A właściwie spóźniono się z jej podjęciem o całych 10 lat. Już wyjaśniam: Lublin rozwijał się tylko w oparciu o budownictwo wysokie, w nielacie pozostawało budownictwo jednorodzinne. Rzutowały na to ogólne tendencje, jak i pozorne błędy popełnione w osiedlu Świt. Dziś stawiamy mocno na zorganizowane spółdzielcze budownictwo jednorodzinne. Zachęcającym jest tu przykład Choin, powstających na obrzeżu Czechowa. W bieżącym roku przekazanych zostanie zainteresowanym 1000 działek, właśnie na terenach przyłączonych ostatnio do miasta, zaś w najbliższych pięciu latach zechemy postawić do dyspozycji ok. 10 tys. działek.



Tomasz Jaworski

T. Jaworski: — W tym, co pan prezydent mówi, czuje się gospodarza i znawcę przedmiotu. Ale słuchając tego można odnieść wrażenie, że chodzi tu o jakieś bliżej nie określone miasto w bliżej nie określonym punkcie Polski czy nawet Europy. Problemy budowlane, inwestycyjne są w zasadzie wszędzie podobne i nie one w gruncie rzeczy sprowadziły nas do tego stołu. Pozostając z szacunkiem wobec pana i w stosunku do zasygnalizowanej sprawy, uważam że powinniśmy mówić o sprawach, które kojarzą się z tym miastem i które — oby! — stworzyć mogą filozofię tego miasta.

J. Kostka: — Naszemu pokoleniu przychodzi płacić cenę za nieinwestowanie w miasto. Za to, że w obrębie śródmieścia są całe bloki, w których nie ma kanalizacji. I od tych podstawowych rzeczy musimy zacząć. Bo jeszcze czas jakiś i sprawa przestanie istnieć, będziemy mogli wtedy do woli zajmować się obrzeżami.

Trzeba pilnie wrócić do stosunków prawnych. Większość budynków w śródmieściu stanowi własność prywatną, warto o tym pamiętać, by nie popełnić błędów jakie miały miejsce na Starym Mieście. Oto po wyremontowaniu obiektu przy ul. Grodzkiej 5 pojawił się właściciel z nie obciążoną hipoteką. Obserwuje się modę na powrót do śródmieścia. Najdroższe działki są w tym właśnie rejonie, cena kształtuje się już w granicach 200 dolarów za metr kwadratowy. Wracają ludzie z zagranicy, którzy chcą inwestować także na Starym Mieście. Na-

leżałoby im stworzyć sensowne możliwości. Bo koniecznych środków na ten cel otcowie miasta nie mają i chyba mieć nie będą. Proszę o pośpiech, bo przyjdzie czas, że zamiast rewaloryzować budować będziemy makiety zabytków.

E. Leńczuk: — Nasze marzenia o obliczu i funkcji śródmieścia zbliżyć trzeba do dzisiejszego wizerunku. Wtedy dostrzeże się ogrom oczekującej pracy. W pierwszym rzędzie poradzić sobie trzeba z obecnym, miasącym dramatyczne skutki układem komunikacyjnym. Przypomnę tylko zrujnowane dziś domy przy Krakowskim Przedmieściu, Dąbrowskiego, Lubartowskiej. Zanim na poważnie zabierzemy się za remonty w tej części miasta trzeba wyeliminować, lub znacznie ograniczyć ruch kołowy. Ażeby to zrobić potrzebny jest równoległy układ komunikacyjny. I taki też jest kierunek naszych najbliższych działań, co stanie się widoczne już wkrótce.

A jeśli chodzi o Stare Miasto. Temat to ogromny, zasługujący na podobną jak ta — do czego zachęcam — dyskusję. Powiem tylko, że bardzo krytycznie odnosimy się do tego, co dzieje się za Bramą Krakowską. Dotychczas istniejący Zarząd Rewaloryzacji nie spełnia swej roli, nie daje gwarancji, że coś może jeszcze zrobić pozytywnego. Wobec tego ta instytucja przewidziana jest do likwidacji.

Dużo sobie obiecuję — i tu dziękuję „Relacjom” za popularyzację tego tematu — po powstającej Fundacji Odnowy Zabytków Lublina. Na jej własność zostaną przekazane wszystkie budynki stanowiące do tej pory własność Skarbu Państwa. Fundacja stanie się nie tylko ich właścicielem, ale także i dysponentem. Będzie więc mogła w tej sytuacji ogłaszać na nie przetargi czy licytacje. Żadne mieszkanie, które powstanie na Starym Mieście (a powstają za ogromne pieniądze), nie może być przydzielone na dotychczasowej zasadzie, a więc rodzinom o najniższym dochodzie. Mieszkania te muszą trafiać — i to na zasadzie własności — do ludzi dających pełne gwarancje właściwego ich użytkowania. Pierwsze przetargi, bo od nich zaczniemy, odbędą się już w tym roku. Fundacja otrzyma też teren, na którym zbudowane zostaną domy dla ludzi zasiedlających obecnie Stare Miasto. Bowiern bez ich wykwatowania niemożliwa jest rewaloryzacja staromiejskich budynków.

RELACJE: — Nie mówiliśmy jeszcze dotąd o estetyce miasta. To co dzieje się w jego wielu punktach uraga nie tylko historycznej tradycji, ale wręcz dobremu smakowi, poczuciu ładu i porządku. Czym tłumaczyć dotychczasowe milczenie na ten temat obecnego wśród nas plastyka?

J. Kostka: — Przyznaję, że opadły mi już ręce... Przez wiele lat dowodziłem, że to co dzieje się w Lublinie w zakresie kolorystyki, reklamy handlowej i usługowej, wszelkiej informacji jest chore, nieudolne i prowincjonalne. Przykładem najgorszego smaku są budki przy poczcie na Krakowskim Przedmieściu, a ogrodzenie jezdnii koszmarnymi łańcuchami przywodzi na myśl pastwisko należące do biednej gminy. Czas już także najwyższy na zrobienie ładu w „zapomnianym” rejonie placu Litewskiego. Może także wreszcie przestalaby straszyć znajdująca się tutaj fontanna-koszmarek.

E. Leńczuk: — Do tej pory miasto, z różnych przyczyn,

nie miało plastyka miejskiego. Od 1 czerwca plastyk będzie. Otrzyma mieszkanie z mojej puli, ale nauczony doświadczeniami postawiłem warunek: o ile nie będzie należycie wywiązywać się z obowiązków, mieszkanie odbierzemy.

Nie mamy także architekta miejskiego. Sądzę, że gdyby był, o wielu problemach mówilibyśmy już w czasie przeszłym. Kandydatowi na to stanowisko mogę zaproponować ładne mieszkanie, nawet komunalne, w dogodnym punkcie Lublina. Przy okazji: podejmuję starania o zorganizowanie w Lublinie pracowni urbanistycznej, ale nie jako „samorządnej, niezależnej” instytucji państwowej, lecz pozostającej na garnuszku prezydenta.

I sprawa ostatnia w tej materii. Nie akceptujemy dotychczasowego wykonywania obowiązków przez miejskiego konserwatora zabytków. Decyzja — wkrótce.

J. Kostka: — Satisfakcjonują mnie te informacje, ale też chciałbym powiedzieć, że z faktu powołania plastyka miejskiego jeszcze nic nie wynika. Powinien on otrzymać z jednej strony „prokuratorskie” niemal uprawnienia do egzekwowania decyzji, a z drugiej możliwość (w postaci np. własnych pracowni, czy zgody na korzystanie z wyspecjalizowanych instytucji plastycznych) realizacji zamierzeń. Pozostaje też sprawa niezawisłości plastyka, architekta, konserwatora — a z tym w przeszłości bywało różnie — od ojców miasta.



Jerzy Kostka

Ważne jednak, że ten krok (można powiedzieć: wreszcie) został wykonany. Mam nadzieję, że podobnie jak w Biblii, z tego chaosu, który jeszcze mamy, wyłoni się Lublin — prawie — naszych marzeń.

T. Jaworski: — Sądzę, że wiele problemów, o których wcześniej była mowa, a i nie przywołanych tu, dalaiby się z większym pożytkiem rozwiązać, jak też uniknąć błędów, gdyby istniały — nieformalne choćby — gremia opiniotwórcze. Gremia, grupujące ludzi mających różny ogląd sprawy Dzisiejsza nasza rozmowa wskazuje na pożytki płynące z takich dyskusji.

RELACJE: — „Miasta jak ludzie mają swoje dzieje i swoje oblicza”. Cieszy nas, że państwo tak wiele myśli do powiedzenia na temat oblicza Lublina. Liczymy także, iż zaprezentowane tu myślenie dopelnione zostanie reakcją naszych Czytelników. A za czas dla poświęcony — dziękujemy.

Podał do druku:
Zbigniew Miazga

Fotografował:
Waldemar Stępień

OPINIA WIEJSKA, JAK ZAWSZE W TAKICH SPRAWACH, JEST PODZIELONA

DROGA DO NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Izabella Wlazłowska

TRZYDZIESCI lat to wystarczający okres, by nabrać przekonania, że najprawdziwsza prawda wcale nie jest prawdziwa, a sprawiedliwość też niejedno nosi imię. Może jeszcze tylko dziennikarz spojrzysz na wszystko obiektywnie — przedrzeć się przez stopy dokumentów, decyzji administracyjnych, wyroków, postanowień sądów i dać prawdzie dowód.

Prawda. W kwestiach spornych są zawsze prawdy dwie, reprezentowane przez każdą ze stron. Od rozstrzygnięcia sporów są, jak wiadomo, sądy. Na wyroki sądów dziennikarz nie ma żadnego wpływu.

Po co więc pcham się „maluchem” pod tę stromą górę?

W prawie karnym, według starej zasady, wszelkie wątpliwości tłumaczone są zawsze na korzyść oskarżonego. A w prawie cywilnym? A w życiu?

W połowie góry „maluch” grzęźnie w błocie i nie chce dalej jechać. Tuż obok wiedzie pod górę droga utwardzona, ale zagrodzona świeżo postawionym płotem. Jest to droga do niesprawiedliwości...

„Rada sołecka wsi Dzierzkowice-Zastawie [...] zna dokładnie tę sprawę i uważa, że Tadeusz G. jest mocno pokrzywdzony przez niewłaściwe rozstrzygnięcie sporu i prosi Obywatela Wojewodę o interwencję i przywrócenie Tadeuszowi G. użytkowania tej drogi, którą dotychczas użytkował”.

Sołtys powiada: „Od trzydziestu lat jestem sołtysem. Droga tam była z dziada pradziada. Nie po to G. pas ziemi obok drogi dokupił, aby teraz na nim kolejną drogę budować. Dokupiona ziemia powinna plony dawać, a póki co ugiem stoi”.

Część wsi Dzierzkowice-Zastawie położona jest nieco z boku od szosy. Zabudowania usytuowane są w większości u podnóża pagórków, wzdłuż wiejskiej drogi, nieliczne — położone są na szczytach. Właśnie w takim miejscu znajdują się zabudowania Tadeusza i Heleny G. oraz ich syna Janusza. Poniżej, tuż przy wiejskiej drodze, stoją zabudowania Józefa, Janiny W. i ich syna Krzysztofa. Te dwa gospodarstwa powstały z podziału spadkowego w częściach równych. Od drogi wiejskiej wiodła polna droga przez siedlisko W. Wiodła, bo już nie wiedzie.

Józef W. ucina krótko: „Skończyło im się prawo do jazdy tą drogą i jeździć nie będą. Sąd nas rozgraniczył i na to mam wyrok”.

Z rozmowy wynika, że konflikt między sąsiadami urósł już do rozmiarów niebotycznych; przejechała kura, ściekająca z góry woda, wyzyska i oszczerstwa dawno przesłoniły zdrowy rozsądek. I aż przykro patrzeć na zacięźwienie 80-letniego człowieka.

Helena G. natomiast darować sobie nie może, że przed laty poszła na rękę Józefowi W., aby ten korzystał z jej drogi. Zanim się spostrzegła, Józef W. zdążył drogę uwłaszczyć, akt własności zdobył na siebie i teraz sądownie wyrzucił ją ze spadkowej własności. To wtedy, przed laty, przy sądowym działaniu spadku namówił ją, by ugodę podpisała. No i podpisała. A on podstępnie, przy uwłaszczeniu ziemi, drogę na siebie zapisał, a im ustanowił słu-

żebność drogi koniecznej. Zaraz potem i ze służebności ich sąd wyrzucił. Teraz komornik płotem drogę kazał zagrodzić. Przyjdzie im chyba fruwać, albo dokupioną ziemię uprawną na kolejną drogę zmieniać, bo plugiem czy sprzętem pod tę górę w żaden sposób się nie wjedzie. Helena G. już w sprawie wiedliwość nie wierzy. Bo jaka to sprawiedliwość, która tylko jedną stronę do głosu dopuszcza, a im same kłody pod nogi rzuca?

Helena G. kładzie na stole kupę dokumentów i synowi Januszowi zdawać każe relację. Trzeba wytrawnego prawnika, aby polapał się w tych wszystkich pismach, decyzjach, wyrokach, uzasadnieniach i odwołaniach. Toteż nie mnie negować, co zostało prawomocnie orzeczone. Zainteresowałam się jedynie pewnymi zbiegami przypadków.

27 stycznia 1984 r. wyrokiem Sądu Rejonowego w Kraśniku zniesiona została tzw. służebność gruntowa drogi koniecznej, ustanowiona na rzecz Heleny i Tadeusza G., po nieruchomości nr 1930, której właścicielami są Janina i Józef W. posiadający akt własności, wydany 18 lipca 1977 r. przez naczelnika gminy w Dzierzkowicach.

9 lutego 1988 r. Sąd Rejonowy w Kraśniku dokonał rozgraniczenia nieruchomości obydwo sąsiadów. W uzasadnieniu sąd powołał się również na prawomocny wyrok dotyczący zniesienia służebności drogi koniecznej.

TYMCZASEM...

Takt własności ziemi Janiny i Józefa W. z 18 lipca 1977 r. przechodził różne koleje losu. 16 października 1981 r. naczelnik gminy w Dzierzkowicach postanowił:

„sprostować decyzję (akt własności ziemi) GU. Orz. 451/28—298/77 z dnia 18 lipca 1977 r. w sprawie uregulowania tytułu własności gospodarstwa Janiny i Józefa W. w ten sposób, że w akcie tym dopisać, że działka nr 1930 obciążona jest służebnością drogi koniecznej dla właściciela działki 1931 według treści postanowienia byłego Sądu Powiatowego w Kraśniku w sprawie Ns 40/59”.

W uzasadnieniu czytamy: „W akcie własności ziemi 451/28—299/75 z 30 grudnia 1975 r. stwierdzona została służebność drogi koniecznej na działkę nr 1930. Wojewódzka Komisja ds. Uwłaszczeń decyzją z 27 kwietnia 1976 r. zmieniła ww. akt własności w części dotyczącej osoby właściciela, jednakże pozostawiła w mocy służebność. W wydanym następnie akcie własności ziemi z 18 lipca 77 r. przez pomyłkę (hm! — przyp. I.W.) nie zamieszczono wzmianki na temat służebności”.

Zaraz po wydaniu postanowienia o rozgraniczeniu z lutego 1988 r. sąd wydał kolejne postanowienie, w którym „postanawia sprostować oczywistą pomyłkę [hm! — przyp. I.W.] zaistniałą w postanowieniu z dn. 9 lutego 1988 r. [...] dotyczącą oznaczenia cyframi linii granicznej...”

W tzw. międzyczasie, na skutek skargi Heleny G., decyzją z 15 lipca 1985 r. minister rolnictwa i gospodarki żywnościowej stwierdził nieważność aktu własności ziemi Janiny i Józefa W. z 18 lipca 1977 r., nieważność decy-

zji naczelnika gminy z 16 października 1981 r., decyzji Wojewódzkiej Komisji ds. Uwłaszczeń w Lublinie z 27 kwietnia 1976 r. i 16 lutego 1982 r., a sprawę przekazał Sądowi Wojewódzkiemu w Lublinie.

— We wszystkich niekorzystnych dla nas decyzjach — mówi Janusz G. — sądy i administracja powołują się na tę nieszczęsną sprawę działową Ns 40/59, przy której zawarta została ugoda. Niestety nikt dotąd nie przeczytał jej dokładnie, nikt nie chciał interpretować jej na naszą korzyść. A przecież tylko od mojej matki zależało, że ugoda była korzystna dla Józefa W. Jest tam napisane, że przy działce przyznanej Józefowi i Janinie W. „będzie przebiegać droga szerokości 4 m od placówki Heleny G. do uliczki wiejskiej od strony Ignacego D.” Słowo „przy” nie oznacza „przez” lub „na”. Gdyby przeto ustanowiono służebność, użyto by sformułowania „przez działkę” lub „na działce”. Napisano jednak „przy”. Nikt też do tej pory nie chciał zwrócić uwagi na pkt. IV postanowienia sądu w sprawie Ns 40/59. A brzmi on: „ustanowić drogi dojazdowe uwidocznione na planie wyżej wymienionym i zgodnie z treścią ugody zawartej przez uczestników w dn. 25 lipca 1960 r. do użytku jak w tej ugodzie”. Mówi się tu o „drogach dojazdowych”, a nie drodze dojazdowej. Bo w myśl ugody my mieliśmy użytkować tę drogę, o którą trwa spór, a Józef W. miał używać drogę o szerokości 2 metrów biegnącą po przeciwnej stronie jego posesji. Ale on na tamtej drodze zbudował stodołę i oborę, a z tej nas wyrzucił. W postanowieniu sądu mówi się o planie. Niestety, plan, na którym wszystko było wyrysowane, zginał z akt sądowych.

10 czerwca 1976 roku ówczesny prezes Sądu Rejonowego w Kraśniku odpowiedział Helenie G.: „[...] po zapoznaniu się z aktami sprawy oraz przeprowadzeniu poszukiwań wyjaśniam: obecny na oględzinach inż. Ciemiński sporządził mapę przedmiotowej nieruchomości oraz wydał opinię. [...] Na k. 46 i 83 znajdują się dwie puste koperty, w których prawdopodobnie znajdowały się plany. Na kopertach, jak również w pozostałej części akt, brak jest adnotacji, aby ktoś pobrał lub zwracał plany. Z tych względów w chwili obecnej nie sposób jest ustalić, gdzie zginał ww. plan”.

NIE koniec jeszcze dziwnych przypadków, które plątają życie rodziny G.

Syn Józefa W., Krzysztof, postanowił wybudować szopogaraż tuż przy granicy działki Heleny i Tadeusza G. i akurat w tym miejscu, w którym otrzymali oni pozwolenie na budowę budynku mieszkalnego. Naczelnik Sąd Administracyjny — Wydział Zamiejscowy w Lublinie uchylił pozwolenia naczelnika gminy w Dzierzkowicach i Głównego Architekta w Lublinie, wydane Krzysztofowi W. na tę budowę. Dlaczego?

W uzasadnieniu wyroku czytamy: „[...] 25 września 1987 r. inwestorzy Elżbieta i Krzysztof W. wystąpili do organu I instancji z wnioskiem o wydanie pozwolenia budowlanego i w tym samym dniu pozwolenie zostało

im wydane i doręczone. Od tego pozwolenia Tadeusz G. wniósł odwołanie do organu II instancji, które do tegoż organu wpłynęło 5 października 1987 r. Natomiast decyzja organu odwoławczego, utrzymująca w mocy decyzję I instancji, zapadła już 3 października 87 r. Skoro więc decyzja organu odwoławczego zapadła przed wpłynięciem do niego odwołania, to powstaje uzasadniona wątpliwość, w oparciu o jakie dowody i materiały decyzja ta została podjęta”.

— Chyba z zemsty rodzina W. nadsłała na mnie urzędnika z gminy, i teraz mam kolegium z kolegium — mówi Janusz G. — Było tak. Rada sołecka postanowiła wyrównać drogi dojazdowe do pól, a ja zgodziłem się, by ziemię wraz z kamieniami zabrali z mojej działki. Rada załatwiła ciągnik z SKR. Zrobiono mi kolegium. Dostałem 30 tys. złotych grzywny. Odwołałem się do Lublina. Sprawa wróciła do Kraśnika. Zarzucano mi, że rozpocząłem nielegalną budowę domu mieszkalnego, a przecież posiadam wszelkie pozwolenia na budowę. Znowu jednak dostałem 30 tys. zł grzywny. Odwołałem się do Lublina. Sprawa wróciła do Kraśnika i ponownie dostałem 30 tys. zł grzywny, odwołałem się...

We wniosku o ukaranie funkcjonariusz MO z Dzierzkowic stwierdził: „Ob. Janusz G. — syn inwestora odmówił mandatu 1000 zł oraz okazania dowodu osobistego i kazał się wynosić z jego własności”. A na rozprawie przed kolegium w Kraśniku uzupełnił: „Oglądał to pan Łacek [pracownik Urzędu Gminy w Dzierzkowicach — przyp. I.W.]. Był tam kwadratowy wykop. Wyglądało to na wykop pod budynec”.

Sołtys zeznał: „Budowy u G. żadnej nie ma. Ziemia, którą od G. woziliśmy, była nam potrzebna na budowę drogi. Wykopaliśmy te doły z radą sołecką”.

Janusz G. wyjaśnił: „Budowę rozpoczęną wtedy, kiedy z gminy przyjdzie właściwy pracownik i wyznaczy granice budowy”.

W sprawie tej przed kolegium do spraw wykroczeń obu instancji odbyło się osiem rozpraw. Wydano pięć instancji w Lublinie odstąpiło od ukarania Tadeusza G., w imieniu którego występował syn Janusz.

Sołtys kiwa głową:

— Ileż to razy członkowie rady sołeckiej jeździli za świadków do kolegium. Tyle dniówek zmarnowanych tylko dlatego, że niektórzy urzędnicy w gminie nie mają chyba nic do roboty. Pani, toż to nonsensy, tylko zatruwanie życia rodzinie G.

Opinia wiejska, jak zawsze w takich sprawach, jest podzielona. Nieliczni trzymają stronę rodziny W. Większość moich rozmówców dostrzega jednak działającą się od lat niesprawiedliwość, w której pokrzywdzonymi są Helena i Tadeusz G. Są też tacy, którzy dobrze pamiętają, w jaki sposób została przed trzydziestu laty zawarta ugoda.

— Pani — słyszę na koniec — ugoda ugoda, prawda prawda, a w życiu wygrywa ten, który posiada więcej „argumentów”.

LISTY - POLEMIKI

Łapię za pióro, by podzielić się swoimi odczuciami po przestudiowaniu albumu „Lublin w fotografii Zbigniewa Zugaja”, wydanego ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie.

Cóż, oddano go do składania w 1984 roku, więc w tzw. minionym okresie, ale wydrukowano w końcu roku 88, gdy okres się zmienił. Jednak nie dla Wydawnictwa Lubelskiego, i oto mamy dziełko, które z „nowego myślenia” ma tylko cenę — 3 tysiące złotych.

Jak jawi się Lublin w tym albumiku?

Najpierw zabytki. Ubożuchno. Z wyjątkiem Katedry i kaplicy Sw. Trójcy, pominięto lubelskie stare świątyn-

nie. Pominięto cmentarz przy ul. Lipowej z mogiłą ks. Sciegiennego i powstańców styczniowych. Zamek ma w podpisie informację — „neogotyckie zabudowania z początku XIX wieku, obecnie siedziba Muzeum Okręgowego”. (To tak a propos „Lubelskiej białej plamy”).

Pomniki — brak pomnika z miejsca straceń powstańców styczniowych na Rogatce Lubartowskiej, pomnika Józefa Czechowicza i najświetniejszego, choć schowanego na dziedzińcu KUL, pomnika papieża i prymasa Wyszyńskiego. W ogóle KUL — rzecz wstydliva. Brak zdjęć tego najstarszego lubelskiego uniwersytetu, choć każdy myślałby, że Zachód kojarzy nazwę naszego miasta z KUL, a nie odwrotnie.

W części „Lublin nowy” brak w ogóle świątyn, tych gotowych i tych w

budowie, omijane są skrzętnie przez obiektyw pana Zugaja nawet przy zdjęciach panoramicznych. Jeden tylko fotogram trafia w „dziesiątkę” atmosfery Lublina — to słynny gmach teatru i filharmonii w wiecznej budowie...

Miniona (oby na zawsze) epokę widzi się na fotografiach typu: „Wytop żeliwa w FSC im. B. Bieruta” (113), „Samochoły dostawcze żuk” — główna produkcja FSC w Lublinie” (134), „Maszyny rolnicze czekają na odbiorców” (140).

Do tego jakość 10 zdjęć jest gorzej niż skandaliczna, osnute zieloną powłoką, mają przesunięcia barw, brak kontrastu.

I do tego kiks — fotografia 145, przedstawiająca główną aleję Parku Ludowego, ma w podpisie informację — „Ogród Botaniczny UMCS na Sta-

winku”...

Tak oto Wydawnictwo Lubelskie dało przykład, jak można skutecznie manipulować obiektywem, by zafaszować obraz miasta.

Jeżeli będą chętni na ten album, to chyba tylko ci, którzy zechcą dla potomnych uchronić od zapomnienia pomnik Bolesława Bieruta, który sfotografowany dwukrotnie, błyszczący świeżą miedzią prosto z huty, stoi na pięciu swego imienia. Nie wątpię, że za parę lat to zdjęcie umieszczone zostanie w rozdziale kolejnego albumu pt. „Lublin, którego nie ma”.

Z całego serca życzę lubliniakom i redakcji, byśmy w zdrowiu tej miłej chwili doczekali.

Beata Poniatowska
Lublin

OZENILEM się. Ja — chłopak ze wsi, skończywszy dziennikarstwo na drugim końcu kraju, wziąłem za żonę pannę z miasta, lekarzkę. Nieważna była wówczas przyszłość, nieważne pochodzenie społeczne, wszystkim, co nas różniło.

Na mieszkanie w mieście nadziei i szans wielkich nie było. Ponieważ ojciec kilka miesięcy wcześniej zachorował, postanowiliśmy zachować — tymczasem — status quo, tzn. żona nadal pracowała w mieście oddalonym o około 70 kilometrów, gdzie sposobiła się do specjalizacji, ja gospodarowałem z matką na ojcowiskach 7 hektarach. Brat, żonaty od kilku lat, mieszkał w sąsiedniej miejscowości. W zasadzie nigdy w domu nie było dyskusji: „kto ma zostać na gospodarce?” Jakoś szło... Było zdrowie, niezłe czasy dla rolnictwa, można było myśleć o tworzeniu przyszłości z pomocą rodzinnej ziemi.

Kilka miesięcy po weselu ojciec przekroczył jakiś tajemniczy próg, uciekł w bezkresną otchłań nicości, uciekł przed chorobą naszej cywilizacji. Zginął śmiercią tragiczną, nagłą, a przede wszystkim okrutną.

JAK TO ZE LNEM BYŁO, CZYLI ZAPISKI CHŁOPO-REPORTERA

Henryk Sienko

Wierzyłem, że wyzdrowieje, że nadal będzie głową rodziny, że tak jak dawniej będziemy razem kosić, zwozić, młócić... Miał ledwie 58 lat. Zostaliśmy w domu sami, tylko mama i ja. A jeszcze w minione wakacje ojciec, spychając z przyczepy ziarno zboża, żartował, że zostanie starym kawalerem, że ze mnie guzik nie redaktor, gdzie mi tam do dziewczuch... Te kilka miesięcy minęło jak sen, jak przewijająca się taśma melodramatu, w którym zamiast napisu „koniec” ktoś zdecydował wypisać: „ciąg dalszy nastąpi”.

Nie byliśmy z żoną jedynakami, nikt nam nie wybudował pod miastem „chat”, ani nie ofiarował okrągłych cyfr na początek życia. Zgodziliśmy się przez jakiś czas być małżeństwem sobotnio-niedzielnym. Mieliliśmy trzy pokoje z kuchnią, z używalnością łazienek, tyle tylko, że od jednego do drugiego pokoju było średnio około 30 km: pokój żony w domu zbiorowego zakwaterowania w miejscu pracy, pokój w Lublinie użyczony przez teściową i jeden w mojej wiejskiej chacie. Najczęściej spotykaliśmy w Lublinie.

Mamy samej zostawić nie mogłem. Wprawdzie istniała jeszcze inna możliwość, ale jeżeli nawet któreś z nas o tym myślało, to żadne nie miało odwagi tego zaproponować. Bo czy może być coś gorszego niż odebranie chłopu warsztatu pracy, którym jest dorobek całego jego życia? A poza tym to już wtedy za nas „majatek” można było kupić w mieście zaledwie przedpokój, a np. za nowego Ursusa-330 — jeden metr kwadratowy.

Lipiec — sierpień 1986 rok.

Zniewa sprzątały z mamą, pomagają „z dosłoko” brat. Jest ciężko, ale jeszcze się oplaci, jeszcze widać efekty, aczkolwiek pojawiają się oznaki zmian, oznaki gorszych czasów dla gospodarstw takich jak nasze. Rosną podatki, podwyższone zostają ceny maszyn rolniczych, usług, pasz i innych środ-

ków do produkcji. Rosną też i ceny produktów rolnych, ale o wiele słabiej i przede wszystkim w niezbyt zrównoważonych proporcjach.

Generalnie: parytet dochodów ulega dalszemu „rozwojowi” na niekorzyść wsi. Po raz kolejny sprawdza się porzekadło: „od myszy do ołtarza, każdy żyje z gospodarza”. Myślałem wtedy: czyżby takie zagrody jak nasza miały w przyszłości funkcjonować na granicy vegetacji, trwania od przednówka do przednówka?

Wnioski przychodziły szybko i łatwo. Jak na propagandowym filmie, widać było, że bogatym żyje się łatwiej. Mają po 30 hektarów, pełny park maszynowy, u nich pieniądze zaczęły „robić” pieniądze. W dodatku mogą sobie dorobić kiedy i gdzie im się podoba. Dziwne jest tylko to, że im rodak bogatszy, im więcej ma — tym bardziej zarozumiały, pazerny, nieprzystępny. Ale to może właśnie dzięki tym cechom człowiek staje się majętny? Nie ulega jednak wątpliwości, że ci nowobogacy nie musieli się dorabiać. Są to zazwyczaj małżeństwa „jedynaków” albo tych, którym powojenna reforma rolna dała więcej niż innym. Im zaw-

zdożyliśmy materiały teoretyczne... Dyrektor zrzeszenia obiecał rzucić okiem na plantacje od czasu do czasu. Przygotowaliśmy glebę precyzyjnie według wskazań naukowców i praktyków. Ja miałem obsiać 76 arów, kolega 84.

Na wsi nazwano nas: FIRMA MODRY LEN. Potem zazwyczaj pytano, czy mamy już zapaliki do podpalenia i gotowe podanie do OSP celem asekuracji?

Kwiecień 1987 rok

W święta wielkanocne przy okazji zjazdu rodzinnego próbowano mnie jeszcze odwiedzić od zamiaru wysiewu nasion. Padły przeróżne złośliwe argumenty. Wychodziło na to, że narobię się tylko jak koń, że mną narobi się rodzina, a zysku nie będzie więcej niż np. ze zboża, gdybym nim obsiał ten areal. Ale klamka już zapadła i nie mogłem się wycofać!

W święta też doszło do pręmsiesznej sytuacji. Kilka dni wcześniej kupiłem w księgarni książkę Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu”. Nie było czasu zarzekać o niej. W wolnej, świątecznej chwili żona otworzyła ją na przypadkowej stronie. Była w sąsiednim pokoju. Właśnie rozmawiałem

wykłomana na głębokość 20—25 cm, o ostrej skibie, ale trój Boże w okresie przymrozków. Wiosną, po wspaniałych świętach, musiałem wykonać — i to bardzo starannie — wykopanie, bronowanie i kultywowanie. Oczywiście nie wszystkie te zabiegi są konieczne i wskazane, zależy to od miśsistości gleby... Przed bronowaniem wysiałem wskazaną ilość nawozu. Wprawdzie od lat jestem wrogiem „wszechkuch sztuczności” w gospodarce ziemią, ale w tym przypadku czułem się zupełnie rozgrzeszony: „włókna lnu się nie spożywa, nie będą więc nikomu szkodzić” — myślałem. I jeszcze tego myślenia nie dokończyłem, gdy mama wyrwała mnie z owego dyletanckiego mniemania. Okazało się, że siemię lniane jest używane w lecznictwie i zwierząt, i ludzi. „Nie wierzysz, to idź zobacz do apteki” — mówiła.

Pożyliśmy od stryja siewnik do nawozu i wysiałem 250 kg polifoski.

Dzień przed siewem zaprawiliśmy materiał siewny. To wtedy, jadąc pozycyonym koniem po zaprawiarce na drugi koniec wsi, dumaliśmy o tym, jak ta nasza wieś przez ostatnie lata się przemieniła. Kilka lat temu ciągnik był tu rarytatem, a jeszcze wcześniej — opowiadał mi o tym swego czasu ojciec — nie chciano go wpuścić do wsi, baby kładły się pod koła, kludy widłami po gumach. Bo ciągnik oznaczał kolektywizację — zaorywał miedze! A teraz muszę pożyczyć konia, bo brak mi paliwa do ciągnika.

Z wysianiem siemienia nie było kłopotu. Pomógł mi szwagier. Za jednym zamachem wykonaliśmy pracę również u Jurka. „Postawi najwyżej flaszke, ale będzie miał chłopak z głowy” — pomyślałem. Szwagier poparł pomysł. Teraz już nie pamiętam, czy wygekwawaliśmy od Jurka „naleźność”, bo chłopak porwał forszę za włókno i niemal prosto z banku ruszył na winobranie do RFN.

Uprawa i produkcja lnu ma to do siebie, że prawie każda wykonywana czynność wymaga pracy kilku osób. Zaczęłem się liczyć z tym, że trzeba będzie albo opłacać wynajętych robotników, albo stawiać gorzałkę i prosić o pomoc rodzinę i bliższych znajomych.

Ale było zasiane. Pozostawało czekać na wschody...

Pielęgnacja wschodów to jedna z podstawowych czynności, od których zależy wysokość plonu. Szczególnie ważna jest tu równomierność wzrostu rośliny. W przypadku zaskorupienia gleby niezbędne staje się bronowanie plantacji, i to tylko rano, kiedy ziemia jest wilgotna.

Jednak w moim (i Jurka) przypadku wszystko układało się korzystnie — niemal optymalnie. Pole zazieleniło się równomiernie, z dnia na dzień widać było wyraźny postęp we wzroście, sprzyjała też pogoda. Ale w rolnictwie nie ma tak, by był czas, kiedy chłop o nic się nie martwi. Niby szło jak po maśle, ale... Po wschodach należało pilnować, by nie zaatakowały choroby i chwasty. Byłem przygotowany. Preparat GLEAN na pierwszy rzut oka nie wyglądał okazale: kilkadziesiąt granuliek wielkości dwóch ziarenek maku. Należało to rozpuścić w zbiorniku opryskiwacza i spryskać plantację. Skuteczność działania środka zobaczyłem po dwóch tygodniach. Plantacja, na której pojawiły się chwasty, ponownie była nieskazitelnie czysta. Preparat wzmocił też tęgdy roślin i uodpornił je na choroby.

Czekając na zakwitnięcie, myślałem już o znajomych i krewnych, którzy zgodziliby się pomóc mi w zbiorze i przerobie słomy. Sporządzając listę tych, których ewentualnie mógłbym o to prosić — musiałem sięgnąć głęboko do korzeni rodziny...

Koniec odcinka 1. — cdn.

„MYŚLELIŚMY O TYM, CO BĘDZIE ZA 50 LAT”

Jako była „sybiraczka” zwracam się z prośbą o poinformowanie mnie do kogo mam się zwrócić z bardzo ważną dla mnie sprawą. Obecne nazwisko moje Nowak. Natomiast panię Fijałkowska. Na Sybir została wywieziona w 1940 roku z Augustowa, gdzie w tym czasie, jako dziecko, zamieszkiwałam. Ojciec mój był zawodowym wojskowym w stopniu st. sierżanta. Służył do 1937 roku w 3 pułku szwoleżerów w Suwałkach, gdzie wówczas zamieszkiwałam, na ul. Sejneńskiej. Nie pamiętam też daty urodzenia mego ojca, ani imienia dziadka. Ojciec mój służył w zandarmerii. W 1938 r.

ojciec został przeniesiony w stan spoczynku, ale w 1939 r., w sierpniu, został ponownie powołany do wojska, później został internowany w Pałandze na Litwie. Wrócił przed świętami Bożego Narodzenia do Augustowa. Był z nami do nocy sylwestrowej 1939/40 r. Później został aresztowany właśnie w noc Nowego Roku 1939/40. Aresztowała go NKWD. Została moja mama, Wanda Fijałkowska, siostra, 18 lat, Wiktoria Fijałkowska, brat Jan Fijałkowski, 17 lat, ja 8 lat ur. 1931 r. oraz brat Jerzy Fijałkowski 3 lata, ur. 1936 r. Początkowo ojciec mój przebywał w Augustowie, gdyż brano zmianę bielizny, którą przynosiła ojcu siostra. Jednak po kilku tygodniach odmówiono przyjęcia paczki, stwierdzono, że ojciec mój wyjechał. Dokąd? Prawdopodobnie tam, gdzie pojechali

inni. Po wojnie w 1946 r. mama moja poszukiwała ojca bez rezultatu. Później z Anglii otrzymała wiadomość, że w wojskach walczących na Zachodzie ojciec mój nie figurował, a w sprawie aresztowanych przez NKWD zwrócić się należy do sowieckiego czerwonego krzyża (półksiężyc). Jednak pisanie nic nie wyjaśniło. Ślad po ojcu moim zaginął. Obecnie nie żyje nikt z mojej 6-osobowej rodziny. Siostra i brat starszy zginęli — zmarli w Kazachstanie, młodszy brat i matka w Polsce, a zostałam tylko ja. Cynga, którą przesyłałam na Syberii, pozostawiła swoje ślady. Obecnie jestem schorowaną, starszą emerytką. Zamieszkuje w Białej Podlaskiej, zapisałam się do Związku Sybiraków. Czekam na wręczenie legitymacji (obym dożyła). Powrót do Polski był bardzo smutny. Natomiast

ojca kochaliśmy bardzo i szukam jakiegos śladu, ale jak dotychczas bez skutku. Po prostu nie wierzę, że można tak zginąć bez śladu. Dlatego bardzo proszę o opublikowanie tego listu, może ktoś gdzieś widział mego kochanego Ojca, może gdzieś go spotkał. Na liście pomordowanych w Katyniu jest Stanisław Fijałkowski, ale mój ojciec był Fijałkowski Władysław. Urodził się we wsi Fitowo, woj. gorzowskie (tak mówiła mama), ale to było w 1879 lub 1889. Proszę o odpowiedź.

Mirosława Nowak

ul. Sidorska 31 m. 4

21-500 Biała Podlaska

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera z Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republik Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Obóz Polskich Jeńców Wojennych w ZSRR,
Nianda, Ustymyński Rajon,
Komi ASSR,
4 czerwca 1941 r.

Równo w rok po przybyciu tutaj, do Niandy, po miesiącach oczekiwania na jakąś wiadomość z domu, po tej strasznej zimie, podczas której nirozy dochodziły do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a w śnieg można się było zapaść z głową — nareszcie list z kraju! List jest do Nasty (siostry — MD) i wysłany został z poczty w Kraśniku 29 marca. Na kopercie — stemple cenzury niemieckiej i sowieckiej oraz pieczęcie Oberkommando der Wehrmacht i poczty w Moskwie. Na znaczkach — widok Bramy Krakowskiej w Lublinie i nadruk: „Generalgouvernement”.

Po kilkumiesięcznym pobycie w w Niandzie pozwolono nam pisać listy do rodziny, ale papieru listowego, znaczków pocztowych, kopert nie wydano ani nie sprzedano. Miałem jeszcze z Zaporozia komplety listowe, więc wysłałem dwa listy do Annopola. Początkowo kazali pisać zwrotny adres tak: „Archangielska oblasť, Leński Rajon”; później zmienili na „Ustymyński Rajon, Nianda, Komi ASSR”. Wreszcie trzeci adres dali taki: „Moskwa, Moskowskij Poczamt, Pocztowy jaskzyk 11/53, SSSR”.

Z listu Nasty wynika, że doszedł do domu mój list wysłany stąd 15 grudnia 1940 r. Nasta pisze:

„Dnia 23.3.1941.

Kochany Wacu!

Dzisiaj dopiero miałam możliwość przeczytać Twój list z 15 grudnia ub.r. pisany do Juli [do żony — MD], który przywiózł mi Antos. Przyniósł mi on upragnione wiadomości, pochodzące bezpośrednio od Ciebie, których już niestety tak dawno nie miałam. Z wielką też radością przyjąłam do wiadomości, że Bogu dzięki, trzymasz się jakoś przy zdrowiu i dajesz sobie radę w warunkach narzuconych Ci przez los. Pisał Ci już Bogdan przed blisko roktem, że po opuszczeniu Janowa [Lubelskiego — MD], w którym po przebytej kampanii nie było już co robić — zatrzymaliśmy się w Drzerżkowicach. Tu też przebywam nadal i jakoś sobie radzę, korzystając częściowo z pomocy rodziny Bogdana. Najważniejsze, że zdrowie, chwala Bogu, dopisuje nam wszystkim, a więc wszystko inne łatwiej przechodzi.

Z rodziną w Annopolu utrzymuję kontakt, dzięki czemu niektóre rzeczy mogą być łatwiej uzupełnione.

Tania jest już duża jak na swój wiek (cztery lata blisko), zaaklimatyzowała się w Drzerżkowicach i dobrze się rozwija. W tych więc warunkach radzę sobie dość dobrze. Jakkolwiek czasy są trudne, bo przecież wojna to nie zabawa, ale nam tu wszystkim w kupie — w rodzinie i wśród znajomych, nie jest znów tak trudno wytworzyć sobie jakieś warunki bytu, toteż radzimy sobie nie najgorzej, a troszczymy się raczej o tych — choć bezskutecznie — których nie ma wśród nas.

Miejmy jednak nadzieję, że Bóg nam pozwoli przetrwać najgorsze i znajdziemy się w zdrowiu wszyscy z powrotem.

Pozdrowienia od Teściów, Bryndzów —

Nasta”.

Poniżej podpisu Nasty — dopisek: „Szanowny Kolego!

Korzystając z tego, że Siostra przyszła napisać list do gminy, i ja pozwalam sobie przesłać Koleżce swoje najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia szczęśliwego powrotu do pieleszy domowych.

Witold Bobkiewicz”.

List pisany jest na maszynie, bo tego wymagają przepisy, i Nasta poszła do urzędu gminy z prośbą, żeby jej ktoś przepisał list na maszynie. Jak widać — zrobił to Bobkiewicz.

Jeżeli dotarł do mnie list od Nasty, to mogę się spodziewać, że wkrótce powinien nadejść list od Juli i od mojej kochanej Basienki!

**Obóz Polskich Jeńców Wojennych,
Nianda, Komi ASS,
22 czerwca 1941 r.**

Dzisiaj wieczorem oficjalnie ogłoszono nam po powrocie z pracy wiadomość o rozpoczęciu działań wojennych! Związek Sowietki — mówiono — został zniemacka zaatakowany przez pancerne dywizje niemieckie. Podobno Mołotow wygłosił dzisiaj przez radio przemówienie do narodu sowieckiego o napaści niemieckiej. Na zakończenie stwierdził: „Pobieda budżet za nami!” A więc — wojna, nowa wojna!!!

**W trójkacie obszaru tajki,
Kollas — Jarensk — Syktywkar
(Ust Sysolsk),
obozy przymusowej pracy NKWD,
Sew-Zel-Der-Lag,
24 czerwca 1941.**

Od czterech dni trwa wojna niemiecko-sowiecka; coraz więcej o niej wiadomości przenika do naszego obozu. A tu — jakby wszystko działo się po staremu — nadchodzi dzisiaj do mnie dwa jednocześnie listy od Juli, opieczętowane wizerunkiem czarnego niemieckiego orła! Szy bandzo długo, ale jednak doszły!

Oto treść pierwszego listu:

„15.III.1941.

Najmilszy i najukochańszy Wacu!

Po 10 miesiącach niepokojów, zwątpienia i rozpaczki otrzymaliśmy nareszcie Twój list pisany 15 grudnia 1940 r. Trudno nam w tej chwili opisać, jakim bezmiarem szczęścia wypełnione są nasze serca. Słowa zawarte w liście są dla nas jak balsam kojący.

Toteż z wdzięcznością kierujemy zażalony wzrok na talizman wiszący na ścianie i ufamy, że przy pomocy tego (talizmanu) przetrwasz i wrócisz.

Rok ubiegły przyniósł w rodzinie naszej wiele zmian. Lucia urodziła drugiego syna, Beniek pracuje w gminie, a w tej chwili pisze ten list na maszynie, gdyż inaczej listów pisać nie można. Poza tym wszyscy inni są w domu zdrowi i dobrze im się powodzi. Bogusiowie przebywają w Drzerżkowicach. Listu od Ciebie nie otrzymaliśmy żadnego.

Wszyscy znajomi są na miejscu i zajmują te same stanowiska co i przed tym. Koleżanki wszystkie odpoczywają, gdyż mężowie ich pracują. Z kobiet pracujących w szkole naszej pozostałam tylko ja jedna.

Dzikowie przybyli tu w zeszłym roku w kwietniu. Gruba gotówka, zebrana ze zlikwidowanego domu i wszystkiego, ułatwiła im przedostanie się i powrót. Mieszkają obecnie na wsi u rodziców Marysi. Zostawili dla Twojej dyspozycji pewną sumę pieniędzy u Leszka Kaczkowskiego. Lwów, ul. Stryjska 36 a, 4 piętro, mieszkania 15. Napisz do niego. Lwów jest przecież w posiadaniu Sowietów, więc łatwiej Ci będzie nawiązać kontakt z nim, niż nam.

Cóż więcej Ci napisać? Chyba to jeszcze, że w pamięci naszej i w sercu żyjesz zawsze jako najlepszy ojciec i najbardziej godny szacunku mąż. Biegający czas, nic i nikt — nie zdola nam zatrzymać Twojej ukochanej twarzy i pocztowych oczu uśmiechniętych na świat.

Mamy nadzieję, że Ty również zachowasz nas na zawsze w swej pamięci i całym sercu.

Nie martw się o nas, gdyż jesteśmy zdrowi i materialnie nie odczuwamy wielkich braków.

Babunia i Tatusz trzymają się jeszcze dobrze i wierzą w to, że Cię jeszcze ujrzą. Ty również bądź mężny i ufaj, że także nas zobaczysz.

Całujemy Cię wszyscy gorąco i serdecznie, błogosławimy i życzymy spełnienia marzeń.

Kochająca rodzina i żona

Julia Flisińska.

Osada Annopol
Janowerstrasse 19
Powiat Janów Lub.”

Na drugiej stronie listu od Juli — list od Córki:

„C całym sercem ukochany Tataniu!

Ja już jestem duża. Chodzę do klasy III, uczę się dobrze. Na pierwsze półrocze miałam ze wszystkich przedmiotów piątki. Wychowawcą moim jest Jaworczak. Zbysio znalazł się, jest w Szwałcarii, uczy się w gimnazjum. Wróci wtedy, kiedy i Ty będziesz mógł wrócić. Tęsknię, mój najdroższy Tataniu, bardzo za Tobą i pragnę gorąco, byś wrócił jak najprędzej. Czuję się jednak szczęśliwsza niż inne dzieci, które potraciły tatusiów na zawsze. Zapewniam Cię w końcu, że nam jest dobrze, tylko martwimy się o Ciebie.

Tulę się serdecznie do Ciebie i całuję Cię mocno

Twoja Córka

Basia.

PS. Tam gdzieś blisko Ciebie jest Dąbrowski Franciszek ze Swieciechowa. Adres ten sam zupełnie, tylko skrzynka pocztowa 11/51. Odszukaj go.

W tym liście załączamy Ci pozdrowienia od dobrych przyjaciół i znajomych; pozdrowienia te były tam, gdzie Ty teraz obecnie jesteś, i zostały zwrócone”.

Drugi list został napisany w pięć dni później, trochę podobny w treści do pierwszego, choć krótszy. Może Julia obawiała się, że pierwszy list nie dojdzie, więc na wszelki wypadek wysłała ten drugi.

A oto jego treść:

„Annopol, dnia 20 marca 1941 r.

Najdroższy i najukochańszy Wacu!

List Twój z datą 15 grudnia 1940 otrzymaliśmy 11 marca 1941 roku. Trudno określić, jaką radością i szczęściem obdarzył nas on i ile wzruszenia przeżyliśmy czytając go. W mrokach zwątpienia i bezradności żyliśmy długie 10 miesięcy.

Natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Ciebie wysłaliśmy Ci list 15 marca 1941. Ponieważ list został nadany niezupełnie według obowiązujących przepisów, więc nie mamy pewności, czyś go otrzymał. Dziś korzystamy z nadarżającej się okazji do Kraśnika i wysyłamy drugi list, byś mógł choć jeden otrzymać.

N poczcie tutejszej nie nadaje się listów za granicę, można to uczynić jedynie w Kraśniku. Ja znów obecnie końmi podróżować tak daleko nie mogę; przy tem trudno mi się jest urlopować, gdyż i tak niedawno z konieczności korzystałam z 8-mio dniowego urlopu, ponieważ chorowałyśmy na gripę, ale już jest wszystko dobrze.

List Twój daje siłę nam i moc do wszystkiego. Dziś mamy nadzieję i wierzymy, że o ile przetrwałeś do tej pory, przetrwasz i dalej, i zobaczymy się. Rozłąka spotęgowała w nas uczucia i pozwoliła należycie ocenić Twoją wartość.

W wyobraźni swojej stwarzamy sobie ukochaną twarz Twoją i smutne oczy, patrzące z rezygnacją i żalem na otoczenie. Całą postać Twoją widzimy automatycznie wykonującą pracę, do jakiej nie masz kwalifikacji fizycznych ani też innych. Domyślamy się wielu rzezy i tym boleśniej cierpimy, że nie nie możemy Ci dopomóc.

Bądź mężny, cierpliwy i wytrwały, ufaj, że nam jeszcze zaświeci słońce, a po przebytej burzy jaśnieje i milej.

Całujemy Cię gorąco i serdecznie

i wszyscy życzymy wytrwania

Żona, córka i Rodzina”.

Jak zwykle, drugą stroną matczynego listu wypełniła Córka:

„Kochany i drogi Tataniu!

O ile warunki pozwalają Ci na to, szukaj znajomych, a bądź Ci milej. Pani Kaczyńska z Ostrowa Poznańskiego zawiadomiła Mamusię, że mąż jej jest w Moskwie, ale nie podała adresu. Dąbrowski Franciszek ze Swieciechowa i Babiracki spod Wisły są również niedaleko Ciebie, bo przysłali identyczne adresy, tylko z tą różnicą, że skrzynka pocztowa 11/51.

Tataniu, ogromnie Cię teraz kocham i tęsknię coraz więcej za Tobą. Ja uczę się bardzo dobrze, byś miał pociechę ze mnie, jak wrócisz.

Napisz, Tataniku, jak Ty teraz wyglądasz, czy masz długie włosy i dużą brodę, i czy trochę spowaźniałeś. Przepuszczam, że jesteś mizerny, ale to trudno; aby tylko duch moony mieszkał w Twym oiele i byś mógł wytrzymać!

Tulę się gorąco do Twojego serca i całuję Cię serdecznie — Basia”.

Kochana Basia, kochana Julia! Niestety, nie napiszę Basi, czy mam długą brodę i włosy; nie napiszę do nich w najbliższym czasie żadnego listu; i od nich pewnie już długo do mnie żaden list nie dojdzie, bo jest wojna, nowa wojna!!!

Więc mogę tylko napisać, Moje Kochane Obie, list, który pozostanie „listem niewysłanym”. Może kiedyś, po szczęśliwym powrocie do domu, przeczytam go Wam osobiście. Będzie tam napisane, że:

„Przez wszystkie dni i przez wszystkie białe noce nie byłycie nigdy same. Myśl moja błądziła gdzieś przy Was, myśl moja towarzyszyła Wam zawsze i wszędzie.

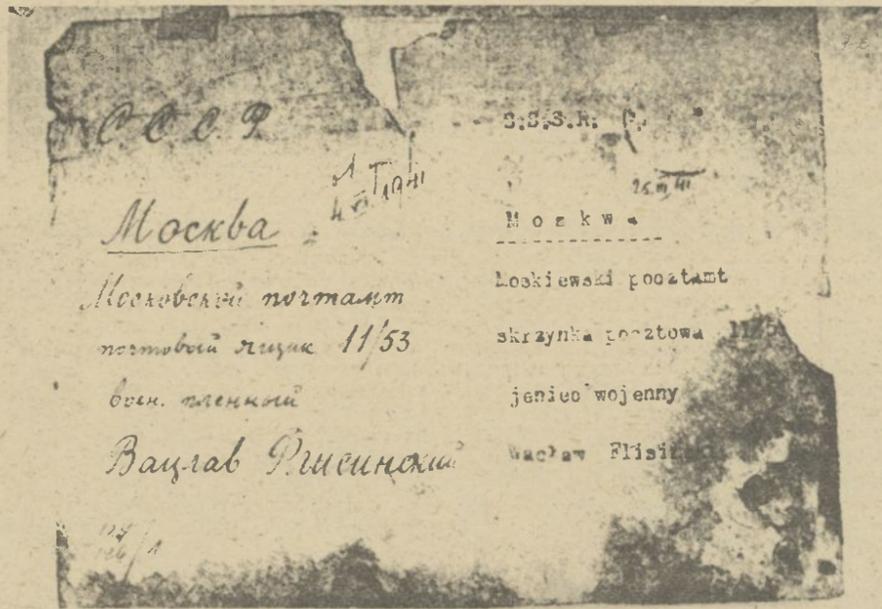
Wrażeń i szczegółów radości z powodu otrzymania Waszych listów z marca trudno mi wyrazić i opowiedzieć. To wszystko można tylko powiedzieć. Tego się nie da oddać.

Basia ma już pełnych dziewięć latek, i o tym pamięta jej niedobry Tatek”.

(Koniec odcinka 12. — cdn.)

Do druku podał i opracował:
Miroslaw Derecki

Repr. Waldemar Stępić



Koperta listu z Polski z 1941 r.

WOSTATNIM okresie na łamach prasy ukazało się sporo ciekawych artykułów i przyczynków historycznych o stosunku władz do żołnierzy Armii Krajowej w pierwszych latach Polski Ludowej. Informują one m.in. o więzieniu w Zamku Lubelskim. Brak natomiast jakichkolwiek informacji o obozie w Skrobowie koło Lubartowa. A 39 lat temu, w wielkim tygodniu, we wtorek 27 marca 1945 r., wybuchł tam zbrojny bunt. Na wolność wyrwało się 47 żołnierzy AK.

Co to był za obóz i od kiedy istniał? Powstał późną jesienią 1944 r. Nosił nazwę „1 Obóz Informacji Wojska Polskiego”. Komendantem jego był mjr NKWD Aleksy Kałasznikow. W marcu 1945 r. w obozie przebywało około 500 polskich wojskowych, w tym ponad 400 oficerów i około 100 podchorążych, podoficerów i szeregowych — w olbrzymiej większości byłych żołnierzy AK.

Skąd się oni tam wzięli? Wyjaśnia to Tadeusz Kowalski w

cji planu, ślady na śniegu wskazywałyby kierunek ucieczki.

Sprzyjająca sytuacja powstała 27 marca 1945 roku. Do prac porządkowych komenda obozu wyznaczyła ponad 50 ludzi. Mieli oni m.in. zasypać doły w pobliżu wartowni NKWD oraz wyrównać drogę prowadzącą od niej do bramy wejściowej.

O godzinie 11. pracujący rozpoczęli bunt. Sygnał dała kilkunastoosobowa grupa pod dowództwem Kazimierza Matwiejowicza, znajdująca się koło dużej studni. Pracujący na drodze, kierowani przez plut. art. Kazimierza Henhena (Chenhena? Henchena?), w tym m.in. pchor. Antoni Jabłoński, rozbroili kilku pilnujących ich wartowników. W tym samym czasie grupa pod dowództwem ppor. Piotra Jarockiego zaatakowała wartownię NKWD zdobywając broń.

Według założeń, bunt miał objąć wszystkich przebywających w obozie. Przebywający na kwaterach oraz na placu spacerowym mieli uderzyć od tyłu, od zaple-

bloński, były żołnierz oddziału „Orlika” (do sierpnia 1944 r.). Po dłuższej dyskusji sprawę postanowiono rozstrzygnąć później, teraz ważny był dalszy odskok i kontakt z terenem.

W chwilę później na drodze pojawiła się furmanka. Jabłoński, Jarocki i Henhen postanowili to wykorzystać i spróbować nawiązać kontakt z terenem. Zatrzymali ją i mówiąc, kim są, poprosili jadącego nią mieszkańca pobliskiej kolonii o nazwisku Parzyszek o żywność, obuwie i pomoc w obraniu bezpiecznej drogi dalszego odskoku. Wystraszony gospodarz, obawiając się prowokacji, informował: „Postawione milicji są postawione w stan alarmu i patrolują teren. Słyszałem o buncie i strzelaniu, ale z obozu nikt nie zdołał zbiec”.

Po wyjaśnieniu wątpliwości Parzyszek odjechał, obiecując pomoc. Niedługo później wraz z synem dostarczył chleb i gotowane ziemniaki. W nocy jego syn

PAMIĘĆ

Gorki Czechowskie — rozległy lessowy teren na obrzeżach „wielkiej lubelskiej sypialni” — Czechowa. Labirynt wąwozów, wysokich skarpczy, zrytych transzejami, częściowo zadrzewiony. Ulubione miejsce zabaw dzieciaków. Pamiętam, że sam jako uczeń wieniawskiej „osiemnastki” godzinami uganiałem się z przyjaciółmi po chaszczach i wadziach Starego Czechowa, w podwórku cegielni i wioskach ciągnącej się wzdłuż dzisiejszej ulicy Kosmowskiej. Nie ma już dziś stałych chałup i studni, ani wysokiego ceglano-komina.

Do głowy nam wtedy nie przychodziło smarkaczom, że biegamy po prochach. Stary ten, wojskowy teren ćwiczeń był polem niejednej krwawej rozprawy: żółta, lessowa ziemia okryła płaszczem niejedno młode życie. Ile mogił kryje w sobie? Kto i z kim tutaj walczył? Milczą o tym pamiętki: drewniany krzyż od ul. Północnej, mogiła trzech nieznanymi legionistów polskich (zbezczeszczone niedawno i okradzione z tablicy), fragmenty żołnierskiego ekwipunku, wojenne znaczki identyfikacyjne... W samym sercu Lublina tkwi miejsce nieznanego boju. Kim byli owi polscy legionisi? Skąd się tam wzięli? Czy ich prochy tam właśnie powinny spoczywać, okradane przez wandalów i obszczekiwane przez psy? Bezimiennie.

Być może wiedza historyków lub pamięć ludzka przyczynia się do wyjaśnienia zagadek Starego Czechowa. Publikując zdjęcia, zwracamy się do Czytelników o opinie i wspomnienia.

Leszek Wiśniewski
Fot. Lucjan Demidowski

UCIECZKA ZE SKROBOWA

(NA PODSTAWIE RELACJI UCZESTNIKA)

Zbigniew Gnat-Wieteska

artykule „Proces Mościckiego i innych” („Odrodzenie” nr 46, 12 XI 1988 r.), pisząc m.in.: „po oświebodzeniu Lublina Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ogłosił obowiązkowy zaciąg do wojska wszystkich oficerów. Na Majdanku zaś przyjmowano wszystkich ochotników. Dopiero w połowie sierpnia 1944 r. władze lubelskie ogłosiły mobilizację pięciu roczników mężczyzn urodzonych w latach 1920—1924. Tymi rezerwami uzupełniono I Armię oraz przystąpiono do formowania II. Zarówno w ochotniczym zaciągu, jak i w ramach mobilizacji znalazło się w LWP masę byłych żołnierzy Armii Krajowej. Do przysięgi żołnierskiej, która odbyła się 12 października, stanęły dalsze nowe cztery dywizje piechoty, jak 6, 7, 8 i 9 oraz szereg oddziałów pozadywizyjnych i armijnych, jak saperzy, artyleria, broń pancerna, bataliony sanitarne itd. Gdy te wszystkie dywizje i oddziały okrzepły i stały się pełnowartościowymi jednostkami bojowymi — żołnierze AK przestali być potrzebni. Nastąpiły aresztowania”.

Aresztowanych (m.in. w jednostkach wojskowych oraz w Oficerskiej Szkole Artylerii) zakwaterowano na parterze i piętrze budynku Szkoły Rolniczej w Skrobowie, stojącego prostopadle do przebiegającej obok drogi. Część parteru zajmowała wartownia. W pobliżu była studnia. Obok budynku znajdował się ogrodzony teren — miejsce spacerów aresztowanych. Stąd niekiedy wyprowadzano niewielu z nich do prac porządkowych w obozie, m.in. w okresie przed Bożym Narodzeniem.

W drugim budynku, stojącym równolegle do poprzedniego, położonym tuż przy wejściu na teren obozu, kwaterowała jego załoga, żołnierze w mundurach Wojska Polskiego, ale słabo mówiący po polsku. Część budynku zajmowała kuchnia. Do prac w niej wydzielano codziennie kilkunastu spośród aresztowanych. W dwóch niewielkich budynkach położonych wewnątrz obozu mieściły się komenda i wartownia NKWD.

Cały teren był ogrodzony, wzmocniony wieżami strażniczymi. Ponadto przy bramie wejściowej była niewielka wartownia. Z dwóch stron obozu, w pobliżu ogrodzenia stały ubikacje.

Mysł o wyrwaniu się na wolność bezustannie towarzyszyła uwięzionym. Brano pod uwagę różne warianty, w tym m.in. bunt w czasie prac porządkowych i rozbrojenie załogi. Określenia nie sprzyjał jednak realizacja,

na załogę wartowni. Wyznaczeni do prac w kuchni mieli opanować miejsce zakwaterowania załogi obozu. Plan częściowo zawiódł — przebywający na kwaterach i placu spacerowym nie włączyli się do akcji.

Załoga obozu, zdezorientowana, początkowo zachowała się biernie. Dopiero w chwilę później z okien wartowni padły pierwsze strzały. Uczestnicy akcji, rozporządzając wówczas kilkunastoma jednostkami broni automatycznej, położyli ogień na okna wartowni oraz ruszyli w kierunku bramy wejściowej. Po drodze rozbroili zmianę odpoczywającą na kwaterach i wybiegli na drogę przebiegającą wzdłuż ogrodzenia obozu. Poddało im się wówczas kilku wartowników przebywających przy bramie. Po odebraniu im broni uciekinierzy skierowali się na teren zabudowań gospodarczych, leżących po drugiej stronie drogi, a następnie w stronę lasu Kozłowska.

Mimo ostrzału prowadzonego z okien budynku piętrowego — 47 ludzi, w tym 3 rannych, dotarło po falistym, rozmokłym terenie do pobliskiego lasu. Wszyscy byli w mundurach, bez pasów oraz większość bez płaszczy, które zdjęli, porządkując teren obozu. Kilku straciło obuwie na rozmokłym polu. Mieli 2 rkm, 12 pistoletów automatycznych, 27 kb., w tym kilka niekompletnych (bez zamka), i niewielki zapas amunicji.

Nie zatrzymując się, uciekinierzy ruszyli w głąb lasu. Chcieli, zanim ruszy pościg, znaleźć się jak najdalej od obozu. Przyjęli wojskowe zasady organizacyjne. Dowództwo nad całością objął ppor. Jarocki, dowódcami drużyn zostali pchor. Jabłoński i plut. Henhen.

(Ppor. Jarocki to przybrane nazwisko pchor. Piotra Mierzwińskiego ps. „Wilk”, żołnierza Okręgu Polesie Armii Krajowej, członka oddziału „Watra IV”, w sierpniu 1944 r. łącznika ppłk. Henryka Krajewskiego ps. „Trzaska”, „Leśny”, dowódcy Zgrupowania 30 Poleskiej DP AK).

Po odskoku około 3—4 kilometry w głąb lasu oddział Jarockiego zatrzymał się na odpoczynek w niewielkiej kotlinie przy drodze leśnej. Uciekinierzy potrzebowali nie tylko odpoczynku, ale żywności i kontaktu z organizacją.

Wśród ludzi nie było jednoznaczności co do kierunku ucieczki. Część chciała iść na południe Lubelszczyzny, inni na północ, w garwolińskie. Ten ostatni kierunek proponował Antoni Ja-

przeprowadził oddział, omijając krążące patrole milicji, do położonego kilka kilometrów dalej, leżącego na uboczu gospodarstwa. Tam mieli wypocząć i nabrać sił przed dalszym marszem, kontynuowanym już przy pomocy miejscowej konspiracji.

Wystawiczo wartę. Pozostali położyli się spać. Ale jak się okazało, nie dane im było odpocząć. Stojący na warcie nie wytrzymał nerwowo i widząc jadącego rowerem milicjanta, wystrzelił, dekonspirując miejsce pobytu. Była to środa, 28 marca 1945 r. Oddział opuścił mp. i ruszył w kierunku rzeki Minina, zatrzymując się na skraju lasu, w pobliżu wioski o nieznanym nazwie.

W chwilę później uciekinierzy zauważyli kilku ludzi opuszczających w pośpiechu wioskę i kierujących się w stronę lasu. Jak się wkrótce dowiedzieli, wkroczył tam oddział Armii Czerwonej — piechota i kawaleria — z zadaniem przeczesania terenu.

Oddział uciekinierów znalazł się w trudnej sytuacji. Na drodze dalszego marszu stali Rosjanie, w pobliżu była szeroko rozlana rzeka i błota. Brak dostatecznej ilości amunicji nie zezwalał na podjęcie walki. Powstał problem, jaki wybrać kierunek marszu, aby nie natknąć się na Rosjan.

Wówczas to odłączyło się 10—11 ludzi, w tym Tadeusz Czechowski, i postanowiło iść w kierunku Lublina. Kilka kilometrów dalej zostali schwytani. Pozostali, prowadzeni przez pchor. Jabłońskiego, ruszyli w kierunku rzeki. Po długim i ciężkim marszu przez błota i rozlewiska dotarli nad Wieprz w rej. Skłodowa i w piątek 30 marca nawiązali kontakt z przebywającymi na kwaterach ludźmi „Orlika”.

Niedługo później, ppor. Jarocki — Piotr Mierzwiński objął pod pseudonimem „Wierny” dowództwo 1 plutonu w kompanii ppor. „Swiata”. W lecie 1945 r. opuścił oddział, przeszedł granicę i zamieszkał w Anglii, gdzie zmarł kilka lat temu.

Autor prosi o nadsyłanie uzupełnień i sprostowań pod adresem:

dr Zbigniew
Gnat-Wieteska

ul. Marzysza 8 m. 7
08-400 Garwolin
tel. do pracy 29-73
tel. do domu 33-43



GLAZ TRWAŁ

Dokończenie ze str. 3

Panie" na „Naszą ojczyznę racz nam zwrócić, Panie”. Czyli obóz wiernopoddańczy nucił sobie jedną wersję, a obóz powstaniowy drugą wersję dyżurnej pieśni „Boże, coś Polskę...”. Pod koniec XIX wieku była ona odpowiednio trawestowana także dla potrzeb środowisk socjalistycznych. Aż wreszcie cenzura carska wmisczyła się w cały ten balagan i w zarządzeniu, wydanym po 1905 roku, czytamy: „Zakazuje się drukowania, przechowywania, rozpowszechniania i wykonywania zabronionych i rewolucyjnych pieśni: »Boże, coś Polskę«, »Z dymem pożarów«, »Jeszcze Polska nie zginęła«, »Czerwony sztandar«, »Warszawianka i inne...»

Ale powróćmy do naszego glazu, który prawdopodobnie murszałby dalej, i porastał mchem, gdyby nie ferment polityczny lat 1980-81.

Oto obradujący w marcu 1981 roku, XII Kongres SD — na wniosek delegacji lubelskiej, zainicjowany, przedstawiony i płomiennie uzasadniony przez Halinę Radołowicz — ustanawia rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja — świętem Stronnictwa, obchodzonym corocznie.

To nowe święto, a zarazem 190 rocznicę „Ustawy Rządowej” z 1791 r., szybko postanowiono w lubelskim środowisku SD uświetnić czynnem konkretnym — gruntowną restauracją obelisku i przeniesieniem go na pierwotne miejsce.

WK SD w Lublinie — gdzie pomysł się narodził na początku — kwietnia 81, — zyskał w tej materii sojuszników,

mogących i chcących podejmować decyzje, ale którym jeszcze rok temu pewno do głowy by nie przy-



Fot. Jacek Mirosław

szło, że spotkać się przy jednym stole, by deliberować, jak tu najgodniej uświetnić 3 Maja. W każdym razie całe to uroczyste gremium udało

się jakoś złączyć pod wielobranżową firmą „Honorowego Komitetu Obchodów Świąt 1 Maja i 190 Rocznicy Konstytucji 3 Maja”.

Następnie sprawą zajęli się — bezinteresownie — fachowcy z lubelskich Pracowni Konserwacji Zabytków z Edwardem Kotyllą, który opracował całościowy projekt rewaloryzacji obiektu, łącznie z nowym orłem w koronie, zrealizowanym w piaskowcu przez Witolda Marcewicza, artystę - rzemieślnika z Bełżyc.

I tak oto w ciągu zaledwie dwudziestu dni kwietnia'81 odrobiono w Lublinie długie lata doktrynalnej pogardy dla pamiętki przeszłości. Na pierwotnym swym miejscu przy placu Litewskim — umiesiony dwiema nowymi płytami piaskowca i zwieńczony orłem wzorowanym na orłach z drzewców sztandarów wojskowych czasu Sejmu Czteroletniego — stanął obelisk z 1916 roku, upamiętniający pierwszą w Europie, a drugą w świecie konstytucję.

Według dostępnych mi informacji — niewiele brakowało, a 3 Maja'81, podczas uroczystości powtórnego odsłonięcia, monument zostałby poświęcony, i niewiele brakowało, a ceremonię tę telewizja wytransmitowałaby w Polskę.

„Wiemy chyba wszyscy doskonale, że święto dzisiejsze mogło się urzeczywistnić dzięki wydarzeniom, które rozpoczęły się w ubiegłym roku w Lublinie robotniczymi strajkami i przerwały stan narodowego i społecznego paraliżu” — przytomnie wtedy zauważył ówczesny przewodniczący WK SD, Henryk Łusiewicz. Lubelski monument jest więc także pamiętką burzliwych lat 1980-81, choć i później nie zawsze spokojnie w jego okolicach bywało.

Maciej Podgórski

OBECNOŚĆ

Dokończenie ze str. 3

rzym omawialiśmy możliwości dopomoczenia Polsce w jej katastrofalnej sytuacji w budownictwie mieszkaniowym. Takie możliwości są, a praktycznie zostaną one przetestowane poprzez współpracę Ursusa i powołanej przez grono biznesmenów polskiego pochodzenia organizacji PARC (Polish American Resource Corporation). Polska jest krajem, gdzie są wszelkie potencjalne możliwości, aby budować szybko, solidnie i wygodnie.

Byłem również goszczony przez Narodową Radę Kultury, za co jestem bardzo wdzięczny panu profesorowi Bogdanowi Suchodolskiemu, a spotkanie na Zamku zapamiętam do końca życia. Nie mogę również nie podziękować sekretarzowi generalnemu Towarzystwa „Polonia”, panu ambasadorowi Józefowi Klasię, że znalazł dla mnie czas oraz za wszystko, co robi dla budowania realistycznych stosunków Polonii i Żydów polskich za granicą, a także dla właściwej optyki stosunków polsko-żydowskich w Polsce, która przez ponad osiemset lat była także ojczyzną Żydów. Jak widać tydzień miałem pracowity, przyznając jednak, że bardzo owocny.

— W ubiegłym roku przebywałem w Polsce jako prezes Amerykańskiej Fundacji Studiów Polsko-Żydowskich, obecnie w roli prezesa nowej — Fundacji Żydowskiej Obecności. Czy mógłbyś objaśnić tę metamorfozę?

— Istotnie, w końcu ubiegłego roku powołana została Jewish Presence Foundation, co można tłumaczyć w sposób, jaki ty to zrobiłeś. Jestem jej prezesem. Równocześnie pozostaję honorowym chairmanem (przewodniczącym?) Amerykańskiej Fundacji Studiów Polsko-Żydowskich. Jak wynika z analizy nazw obu fundacji, ta nowa ma szersze spektrum zainteresowań. Dotyczy obecności narodu żydowskiego w ogóle. Zgodnie z logiką, takiej obecności być nie powinno. Ona jednak jest. W lwiej części ta obecność jest wynikiem tego, co przez wieki działo się na ziemiach polskich, gdzie rodziła się dusza i kultura żydostwa średniowiecznego, a także specyficzna i niepowtarzalna kultura polsko-żydowska. Popatrz na dzisiejszy Hollywood, na Broadway. To są produkty tej własnej kultury. To, że obecność żydowska została zachowana, jest w wielkiej mierze zasługą obecności Żydów w Polsce i ich tu rozwoju.

Uważam, że o tym powinno się pamiętać i przypominać. Nie uważam, aby dostrzeganie obecności było czymś wstydliwym ani dla Żydów, ani dla

nie-Żydów. Przeciwnie: mówienie o tym jest wyrazem szacunku dla pewnych, nieprzemijających wartości humanistycznych, ogólnoludzkich. Taki jest punkt widzenia naszej fundacji, w której zarządzie zdecydowaną przewagę mają chrześcijanie, a są też muzułmanie. Z tych też powodów dążymy do eksponowania śladów obecności, a nie nieobecności. Bliżej nam do Kazimierza krakowskiego, skąd wywodzi się dwudziestu noblistów, a nie do Oświęcimia. Chcemy mówić o rozkwicie, a nie o zagładzie. O niej pamiętać trzeba, ale na niej nie wolno budować.

— Czy można powiedzieć o Jerzym Koscińskim, że jest dzieckiem identyfikacji z: polskością, żydowską tradycją i kulturą amerykańską?

— Jestem przede wszystkim pisarzem. Czy pisarz może mieć jedną matkę duchową? Czy może być dzieckiem jednej tylko matki? Myślę, że podstawową cechą pisarza jest dojmująca samotność i poczucie pewnej amorficzności. Cechą pisarza, która trzyma go w ogóle przy życiu, jest możliwość zapożyczenia, czerpania z wyobraźni. Można by więc powiedzieć, że ojczyzną pisarza jest jego wyobraźnia. Ale czy nie jest jego ojczyzną Polska? Moja Łódź? Ziemia Obiecana? Czy mogę się odciąć od tradycji żydowskiej, będącej źródłem żywotności, ale także swoistej mistyki i abstrakcji?

Czy mogę wreszcie powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z kulturą anglojęzyczną, którą wybrałem, mając dwadzieścia cztery lata? Kulturą operującą językiem o zupełnie różnej konstrukcji niż polski, gdzie silne są czasownik i rzeczownik, a już powiedzmy przysłowki i przymiotniki, tak ważne w polskim, ignorowane. Ma to szalone konsekwencje dla mentalności i sposobu widzenia świata. Przy tym wszystkim język angielski jest ogromnie plastyczny i w zasadzie odkrycie, że mogę się w nim bawić, a nie sprawdzać, przesądziło, że stał się moim językiem wypowiedzi o świecie. Przy tym wszystkim nie mogę jednak wyzbywać się rodzaju wielkiej satysfakcji, gdy tłumaczę na angielski tytuł „komitej rozprawy mego kolegi po piórze pt. „Miłość i odpowiedzialność”, slysze: „Nie Jerzy, ty coś przekraczasz. Przecież nie może być takiego zestawienia. Nie może być i miłości, i odpowiedzialności naraz. Jaki to autor?”. „Karol Wojtyła” — odpowiadam. I slysze: „Ach, wy, Polacy. Kto za wami nadąża?”.

Czy ja za sobą nadążam? Czy ja jeszcze rozumiem, że można rozebrać się, ale także można rozebrać Polskę. Ale równocześnie ubierając się, nie da

się Polski ubrać, tylko ją trzeba innym odebrać! W jakim ja więc żyję świecie? Gdzie moje miejsce i moja ojczyzna? Może w „Lokomotywie” Juliana Tuwima, którą cytuję w „Pustelniku z 69 Ulicy”, a której nie da się przełożyć na angielski, bo nie zna on onomatopei, która jest również moją ojczyzną. Tuwima, który w Nowym Jorku bał się przejść przez ulicę, ale też pisał „Kwiaty polskie”, choć sam był żydowski.

— Książka, o której wspominaś, ma się ukazać nakładem Wydawnictwa „Polonia”. Jest ona próbą odpowiedzi na pytanie, które ci poprzednio zadałem. Próba opisanie fenomenu jaźni polsko-żydowsko-amerykańskiej. Czy nie obawiasz się jej konfrontacji z polskim czytelnikiem?

— „Pustelnik” czy może raczej „Samotnik”, jak sugeruje tłumacz tej książki Andrzej Czarny z Krakowa, a z czym ja znów nie będę walczył, jest moją prywatną mieszanką, grą na języku. Tym, czego się Broadway nauczył od Polaków, nawet jeżeli ci Polacy nazywali się — powiedzmy — Rothstein. Gra na języku, zabawy nim. Jest to książka swoistego klimatu i kolorytu językowego. Języka pochodzącego ze świata istniejącego gdzieś pomiędzy krakowskim Kazimierzem, Łodzią a Manhattanem. Fragmenty tłumaczenia, z którym mogłem się zapoznać, w pełni mnie zadowalała. To zaś, że książkę powierzyłem oficynie Towarzystwa „Polonia”, nie jest przypadkiem, a w tym razem mego stosunku do tej instytucji.

— Podobno nie jest to twoja ostatnia wizyta w tym roku w Polsce?

— Wybieram się do kraju jeszcze dwukrotnie. Najpierw będzie to czerwiec, kiedy będę miał cykl kilku wykładów w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Natomiast na przełomie września i października Fundacja będzie chciała zaakcentować obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej jako wydarzenia horrendalnego, które przyniosło Polsce zagładę 1/5 jej ludności, a Żydom holocaust trzech i pół miliona ludzi z terenu Polski, przy łącznej liczbie sześciu milionów zamordowanych w ogóle. Myślę, że to pięćdziesięciolecie, jakie dzieli nas od początku tej tragedii, winno być dla Polaków i Żydów źródłem refleksji i nieustawania w drodze ku sobie. Bo choć oba narody nigdy już w bezpośrednim sąsiedztwie i bliskości żyć nie będą, pozostaje pamięć tej obecności, którą trzeba ocalić dla tych, którzy będą po nas żyć i w Łodzi, i w Lublinie, i w Jerozolimie, i Nowym Jorku, a którzy być może zechcą uczyć swoje dzieci na Manhattanie „Lokomotywy” zupełnie niepojętej dla Amerykanów.

— Dziękuję.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy
Trwa Lubelska Wiosna Teatrarna. Po przedstawieniach Teatru Dramatycznego im. Lenińskiego Komsomolu Białorusi z Brześcia, Teatru S'U z Krakowa oraz Teatru Współczesnego z Wrocławia — lubelskiej publiczności zaprezentuje się węgierski teatr Gardonyi Geza Szinhaz z Egeru. W dniach 7-8.05 węgierscy aktorzy przedstawia „Białe małżeństwo” Tadeusza Rózewicza. Spektakl zrealizowany przez Andrzeja Rozhina z zespołem teatru w Egerze został wysoko oceniony przez publiczność i krytykę węgierską; stał się wydarzeniem artystycznym ubiegłego roku na Węgrzech, a scenografia Andrzeja Markowicza zdobyła miano najlepszej w 1988 r.

Sztukę znanego amerykańskiego dramaturga Arthura Millera „Wspomnienia o dwóch poniedziałkach” (reżyseria Agnes Szabo) Gorodnyj Geza Szinhaz zaprezentuje w dniach 10-11.05. Jej bohaterami są prości ludzie pracujący w zakładzie części samochodowych. Wszyscy pragną być niezależni. Nie mogą pogodzić się z faktem wiecznej zależności od kogoś. Zadają sobie pytanie: „Dlaczego jedni mogą wyzyskiwać drugich?”. Odpowiedzi nie mogą znaleźć, ale jej stale szukają.

Teatr Łalki i Aktora:

4.05 godz. 11, 13; 5.05 godz. 10; 6.05 godz. 13; „Uraj Batory” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.
10.05-11.05 godz. 10, 12: „Pan Twardowski” Tadeusza Wierzbickiego; reż. Tadeusz Wierzbicki.

Teatr Muzyczny:

4.05 — występy gościnne w Tarnobrzegu; „Paganini” Ferencza Lehara.
6.05 — występy gościnne w Ostrowcu Świętokrzyskim: „Baron cygański”.
8.05 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę”, „Salon pana Wdęckiego” Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.
Akademickie Centrum Kultury „Chatka Zaka”:

9.05 godz. 19 — spektakl trupy teatralnej „Tretaux de Haute — Alsace” z Francji, zatytułowany „Pierrot, czyli sekrety nocy”, według sztuki Michela Tourniera i w reżyserii Andre Leroy.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 9.05 godz. 19, 8.05 godz. 18: koncerty symfoniczne. Orkiestrą PFL dyryguje Ryszard Komorowski. Soliści: Wiesław Kwaśny (skrzypce), Julian Tryczyński z Kanady (wiolonczela). W programie: Koncert podwójny a-moll op. 102 na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę Johannesa Brahmsa; uwertury Stanisława Moniuszki: „Straszny dwór”, „Hrabina”, „Fils”, „Bajka”.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Ryszarda Krzywicki.
BWA (ul. Narutowicza 4) — 10.05 godz. 18 — otwarcie wystawy Centrum Sztuki z Warszawy (sala duża).

— wystawa fotografii Zbigniewa Bujaka poświęcona ostatniej wizycie papieża Jana Pawła II w Polsce (sala mała).
Galeria „Labirynt 2” (ul. Grodzka 3) — wystawa prac Christo (fotografia i rysunek).
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa artystów z Norwegii (rzeźby, instalacje, dokumentacje).

Galeria Sztuki Sępnego Plastycznej (KUL) — wystawa malarstwa Edwarda Dwurnika.
Galeria „Nova” (ul. Grodzka 5) — wystawa artystów z Drezna.

Galeria WDK (ul. Podgórska 3) — wystawa fotografii Jerzego Wierzbickiego.
Galeria „Biała” (ul. Piłsudskiego 12) — wystawa prac młodych pt. „Biała wiosna” (czynna do 6.05).

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa prac członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych pt. „Wiosna '89”.

Muzeum UMCS (ul. Nowotki 11) — wystawa pt. „Polski heraldyczny znak książkowy XVI-XX w”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa sztuki artystycznej ze zbiorów BWA w Wałbrzychu.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „Es” — wystawa fotografii Zbigniewa Tomaszczuka.

W ZAMOŚCIU

Galeria Sztuki Współczesnej: 4.05 godz. 17 — otwarcie wystawy rysunku satyrycznego Tomasza Jury.

BWA: 5.05 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa i rysunku Stanisława Białogłowicza.

ROZRYWKA

W LUBLINIE

10.05-11.05 godz. 19 (hala MOSiR) — zespół „Śląsk”.

DNI KULTURY PALESTYŃSKIEJ W LUBLINIE

Mamy oto rzadką okazję bliższego poznania kultury palestyńskiej. I tej dawnej — ludowej, i tej współczesnej. Obejrzeć mianowicie można w Zespole Szkół Ekonomicznych przy ul. Dąbrowskiego 14 wystawę zatytułowaną „Plakat palestyński”, zaś tuż obok w Młodzieżowym Domu Kultury czynna jest wystawa „Palestyńskie stroje narodowe”. Spotkania z muzyką i tańcem palestyńskim odbyły się 3 V, natomiast 4 V organizatorzy zaprosili na „Wieczór palestyński” (godz. 17 MDK). W programie wieczoru spotkanie z ambasadorem państwa palestyńskiego, wyświetlanie przezroczu, muzyka, piosenka i tańce, degustacja kawy i herbaty „po arabsku” oraz ciastek palestyńskich.

TV

Czwartek — 4 maja
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz!
 8.50 Domowe przedszkole
 9.15 Dt — wiadomości
 9.25 „Pechowy portfel” — film fab. prod. CSRS
 10.40 Domator: To się może przydać
 16.00 Program dnia, Dt — wiadomości
 16.05 Polskie źródła: Raba-ka
 16.25 Dla młodych widzów: Kwant
 17.15 Teleexpress
 17.30 Patrol — wojskowy magazyn publicystyczny
 17.35 „Warszawskie Towarzystwo Cyklistów” (1) — film dok. Bogdana Tuszyńskiego
 18.20 Sonda: Zielona medycyna
 18.50 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
 19.00 10 minut
 19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
 19.30 Dt
 20.05 „Słynna sprawa” — film fab. prod. ang.
 21.55 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
 22.05 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
 22.55 Dt — echa dnia
 23.10 Jutro w programie
 23.15—23.45 Język francuski (27)

Program II
 16.55 Język francuski (27)
 17.25 Program dnia
 17.30 Rodzice i dzieci: Konflikt — dlaczego mnie pilnujesz?
 18.00 Program lokalny
 18.30 Magazyn „102”
 19.00 „Strachy na lachy” — serial animowany prod. ang.
 19.30 Puls — program medyczny
 20.00 Krajobraz rozbity na syntezę — reportaż
 20.20 Festiwal Muzyki — Łańcut '88: Świat kubańskiej zarzueli
 21.00 Ekspres reporterów
 21.30 Panorama dnia
 21.45 Studio Teatralne Dwójki: Larry Kramer „Normalne serce”
 23.55—24.00 Komentarz dnia

Piątek — 5 maja
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia domowa
 8.50 Domowe przedszkole
 9.15 Dt — wiadomości
 9.25 Dt — dodatek gospodarczy
 9.40 „Ciocia Marusia” (2) — film fab. prod. ZSRR
 16.00 Program dnia, Dt — wiadomości
 16.05 Mieszkać — wszechnica budowlana
 16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
 16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
 17.15 Teleexpress
 17.30 Portrety: „Maria Kuncewiczowa, wspomnienia o ludziach, książkach i zdarzeniach” — film dok. L. Perckiego i Wł. Stępińskiego
 18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
 19.00 10 minut
 19.10 Monitor rządowy
 19.30 Dt
 20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Ciennadaj Mamlin — „Dzwony”
 21.50 Kto, jak, kiedy, dlaczego?

22.00 Czas — magazyn publicystyczny
 22.30 Studio sport: Puchar Davisa w tenisie ziemnym (Polska — Grecja)
 23.10 Jutro w programie
 23.15 Dt — echa dnia
 23.30—23.55 Świat jaki jest: „Cena filiżanki herbaty” — serial dok. prod. ang.

Program II

16.55 Język angielski (56)
 17.25 Program dnia
 17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
 18.00 Program lokalny
 18.30 Magazyn „102”
 18.50 Polska Kronika Filmowa
 19.00 „W labiryncie” (18) — serial TVP
 19.30 Dookoła świata: W Czerkasach i w Weronie
 20.00 Studio sport: Puchar Davisa w tenisie ziemnym (Polska — Grecja)
 20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Teatr Dionizosa
 21.30 Panorama dnia
 21.50 Filmy Johna Hustona: „Key Largo” — prod. USA
 23.20—23.25 Komentarz dnia

Sobota — 6 maja
Program I

8.00 Tydzień na działce
 8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
 8.55 Program dnia
 9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fraggles” — serial prod. ang.
 10.30 Dt — wiadomości
 10.40 Stare, nowe, najnowsze
 11.25 Azymut — wojskowy magazyn publicystyczny
 11.55 Telewizyjny koncert zyczeń
 12.25 Wędrowki dalekie i bliskie: „Witajcie w Babilonie” — film dok. prod. szwajcarskiej
 13.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Jerzy Krzysztoń — „Panna radosa”
 15.00 Komedia, komedia, komedia: „Pieczone gołąbki”
 16.35 Losowanie Dużego Lotka
 16.45 Flesz — magazyn rozrywkowy
 17.15 Teleexpress
 17.30 Premie i premiery — piosenki kandydujące do festiwalu opolskiego
 18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
 19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
 19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Poczta zoo
 19.30 Dt
 20.05 „Popierajcie swego szeryfa” — western prod. USA
 21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
 21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
 22.35 Program rozrywkowy
 23.30 Dt — wiadomości
 23.35 Jutro w programie
 23.40—23.45 Kino sensacji: „Mściciele” — serial prod. japońskiej

Program II

14.45 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
 15.10 Powitanie
 15.15 Małe kino: „SOS” — film dok. Grzegorza Skurskiego
 15.30 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży
 17.00 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. 1 pt. „Pulkownik cesarza” — film fab. TVP
 18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
 18.30 Wielka gra — teleturniej
 19.30 Galeria 37 milionów: Malarstwo Henryka Cześniaka

20.00 Wielki Yo Yo Ma w Filharmonii Narodowej w Warszawie — recital amerykańskiego wiolonczelisty
 21.30 Panorama dnia
 21.45 „Ucieczka w kajdanych” — film fab. prod. USA
 23.20 Komentarz dnia
 23.25—23.55 „W labiryncie” (18) — serial fab. TVP (powt.).

Niedziela — 7 maja
Program I

8.55 Program dnia
 9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Szwajcarscy Robinsonowie” (26) — serial przygodowy prod. kanad.
 10.30 Dt — wiadomości
 10.35 „Siergiej Korolow” — program dok.
 11.30 Kraj za miastem
 11.55 Telewizyjny koncert zyczeń
 12.40 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
 13.25 Teatr dla dzieci: Andrzej Opala — „O ptaszku, który las zadziwił” (1)
 13.55 Morze — magazyn publicystyczny
 14.15 Marek Sierocki zaprasza
 14.35 Powiększenie — foto-magazyn
 14.55 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — „Ameryka skalista”
 15.40 „Katarzyna” (6) — serial kostiumowy prod. franc.
 17.15 Teleexpress
 17.30 Antena
 17.55 Studio sport: Eliminacje do Mistrzostw Świata w piłce nożnej (Szwecja — Polska)
 19.50 Dobranoc: Czego nie lubią kruki?
 20.00 Dt
 20.30 „Hoover przeciw Kennedym” (3) — fabularyzowany dokument prod. kanad.
 21.45 Raport: Siedem dni
 21.25 Sportowa niedziela
 22.25 „Sławne kobiety i ich czasy” odc. 2 pt. „Colette” — film dok. prod. franc.
 23.20 Dt — wiadomości
 23.25 Jutro w programie.

Program II

9.50 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
 10.25 „Hoover przeciw Kennedym” (3) — fabularyzowany dokument prod. kanad. (dla niesłyszących)
 11.15 Magazyn lotniczy
 11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
 12.15 Powitanie
 12.20 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbową” — odc. 3 pt. „Wyspa potępionych” — serial przygodowy prod. ang.
 13.15 100 pytań do...
 13.55 Podróże w czasie i przestrzeni: „Życie codzienne w starożytnym Egipcie” (2) — serial dok. prod. ang.
 14.50 Rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska, w programie Ireny Dziedzic
 15.30 Formuła I: Monte Carlo (start)
 15.45 Program rozrywkowy
 16.15 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
 16.30 Zbliżenia — czyli t i owo o filmie
 17.00 Formuła I: Monte Carlo (finał)
 17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
 19.00 Program publicystyczny
 19.30 Galeria Dwójki: Jan Dobkowski (malarz)
 20.00 Nadzwyczajny koncert Orkiestry Kameralnej PRiTV w Poznaniu pod dyr. Agnieszki Duczmal
 21.00 Studio sport: Puchar Davisa w tenisie ziemnym (Polska — Grecja)

21.10 Panorama dnia
 21.45 „Wichry wojny” (8) — serial fab. prod. USA
 22.35 Komentarz dnia.

Poniedziałek — 8 maja
Program I

16.05 Program dnia, Dt — wiadomości
 16.10 Luz — program nastolatków
 17.00 Teleexpress
 17.15 Studio sport: I etap Wyciągu Pokoju (na terenie Warszawy)
 18.30 Laboratorium: Laser, proszę
 18.50 Dobranoc: Kozioł muzyk
 19.00 10 minut
 19.10 Gorące linie: Karta chińska
 19.30 Dt
 20.05 Teatr Telewizyjny: Franz Werfel „Jakobowski i pułkownik”. Reż. Edward Dziewoński. Wyk.: Henryk Bista, Leonard Pietraszak, Grażyna Barszczewska, Janusz Gajos, Jan Matyjaszkiewicz, Barbara Rylska i inni.
 21.35 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
 21.35 Kronika Wyciągu Pokoju
 21.45 Hasior w Moskwie — reportaż z wystawy
 22.10 Program publicystyczny

Program II

22.45 Dt — echa dnia
 23.05 Język niemiecki (25)

Program I
 16.55 Język niemiecki (25)
 17.25 Program dnia
 17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
 17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Alternacje
 18.00 Program lokalny
 18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
 19.10 Teletrans
 19.30 Życie muzyczne — XXIV dni muzyki organowej
 20.00 A wino lepsze, gdy upija — program poetycko-muzyczny
 20.30 Osądźmy sami
 21.45 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
 21.30 Panorama dnia
 21.45 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienia” (6) — serial prod. franc.
 22.40 „Guernica” — widowisko pantomimiczne
 23.15 Komentarz dnia

Wtorek — 9 maja
Program I

8.35 Domator: Rady na życie; Tylko dla siebie
 8.50 Domowe przedszkole
 9.15 Dt — wiadomości
 9.25 Dt — dodatek gospodarczy
 9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (6) — serial obycz. prod. CSRS
 10.40 Domator: Rady na życie; Na emeryturze
 11.20 Najlepszym — piosenki z dedykacją dla najlepszych żołnierzy
 11.50 Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie z okazji 44 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem
 15.55 Program dnia, Dt — wiadomości
 16.00 Gazeta rolnicza
 16.20 Dla dzieci: Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż”
 16.45 Studio sport: Wyciąg Pokoju — II etap (Warszawa — Łódź)
 17.45 Teleexpress
 18.00 „Następny proszę” (2) — „Rozstanie” — serial obycz. prod. ang.
 18.50 Dobranoc: Dwa małe trzmielce
 19.00 10 minut
 19.10 Telewizyjny Klub Konsumentów „Stop”

19.30 Dt
 20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (6) — „Przesiedleni” — serial obycz. prod. CSRS

21.05 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
 21.15 Konferencja prasowa rzecznika rządu
 21.40 Kronika Wyciągu Pokoju
 21.50 Z honorem i chwałą — film dok.
 22.10 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”
 22.50 Dt — echa dnia
 23.10 Język angielski (27)

Program II
 16.55 Język angielski (27)
 17.25 Program dnia
 17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej” (9) — serial dok. prod. ang.
 18.00 Program lokalny
 18.30 Non stop kolor: „Rolling Stones” — dwadzieścia lat rock and rolla” (2)
 19.30 Studio sport — magazyn alpinistyczny
 20.00 „Kotwa, forum, favorit”. „Nad Wełtawą” — reportaże z Czechosłowacji
 21.00 Na warsztacie historyka — prof. dr Eugeniusz Duraczyński
 21.30 Panorama dnia
 21.45 „Krew i honor” (4) — ostatni odcinek serialu prod. RFN
 22.45 Program publicystyczny

Środa — 10 maja
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
 8.50 Domowe przedszkole
 9.15 Dt — wiadomości
 9.25 „Trzy słowca dnia dzisiejszego” (1) — film prod. węg.
 10.25 Domator: Przyjemne z pożytecznym
 15.50 Program dnia, Dt — wiadomości
 15.55 Losowanie Express i Super Lotka
 16.05 Studio sport: Wyciąg Pokoju — III etap (Pabianice — Wrocław)
 17.30 Studio wyborcze
 18.00 Spojrzenia: Wyciąg do technologii
 18.30 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX w.
 18.50 10 minut
 19.00 Dobranoc: Plastusio-wy pamiętnik
 19.10 Sejmowe spotkania
 19.30 Dt
 20.05 Studio sport: Finał Pucharu Zdobywców Pucharu w piłce nożnej (w przerwie: kronika Wyciągu Pokoju)
 22.00 Studio wyborcze
 22.15 Raport
 22.45 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia
 22.55 Dt — echa dnia
 23.15 Język rosyjski (28)

Program II
 16.55 Język rosyjski (28)
 17.25 Program dnia
 17.30 Program rozrywkowy
 18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
 18.30 Lokalne studio wyborcze
 19.00 „Łańcut — moja miłość” — program Bogusława Kaczyńskiego
 19.30 Afganistan — program dok.
 20.00 „07 zgłoś się” (18) — „Bilet do Frankfurtu” — serial krym. TVP
 21.10 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
 21.30 Panorama dnia
 21.45 „W labiryncie” (19) — serial TVP
 22.15 Telewizja nocą
 23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 659. 21.04.89. B-4.

POLSKIE GOSPODARSTWO

CHOĆ RAZ ZABRAĆ BOGATYM

Andrzej W. Pawluczuk

DOPOKI nie zetknąłem się osobiście, jako lokator, z coraz szybszą galopadą czynszów za mieszkanie, dopóty moje oko nie widziało wokół tyle marnotrawstwa, ile widzi obecnie. Wokół — czyli koło mojego bloku i na moim osiedlu, czyli wszędzie tam, gdzie administruje spółdzielnia mieszkaniowa, której jestem członkiem.

Przykład będzie jeden, ale za to permanentny, czyli taki, który trwa i którego końca nie widać: drogi wewnętrzne. Nie wiem, jaki mechanizm zmusza budowlanych do pośpiechu i partactwa, a spółdzielnie, czyli rzekomo reprezentanta moich interesów, do tolerowania takiego stanu rzeczy. A polega to na tym, że asfalt wylewa się na nie utwardzone, pofalowane, a bywa, że i zamazane podłoże. Na oplakany skutek nie trzeba długo czekać. Zaledwie po paru miesiącach taka droga jest pełna wyrw i dziur. „Zaszyj dziurkę, póki mała” — rzeźbę przysłowie staropolskie, ale nowopolacy mają gdzieś takie proste i sprawdzone prawdy. Toteż deszcze, dzieci i samochody powiększają te wyrwy do rozmiarów, które w końcu i nowopolaka denerwują. Przyjeżdża ekipa, sprzęt, dziura zostaje zalana asfaltem. Ale to nie koniec.

Bo oto w parę tygodni później (a bywa że już nazajutrz) obok dziury zreperowanej pojawia się dziura nowa. Nie pojmuję tego zjawiska; zawsze sądziłem, że technologia budowania dróg znana jest ludzkości od tysiącleci, a w Polsce — od stuleci. Toteż denerwuje mnie, że ta cała zabawa w dziury i ekipy trwa sobie latami bezkarnie. Obok mojego bloku, gdzie mieszkam dopiero drugi rok, drogi latano już cztery razy. Od dwóch tygodni pora na piątą latanie, ale jakos nikt się nie zjawia. Widocznie administracja osiedla czeka, aż dziura się powiększy,

gdy musi być duży „przerób”, aby opłacało się przysyłać ekipę i sprzęt.

Komu się to partactwo opłaca, za czyje pieniądze i kto jest tutaj bezkarny?

Odpowiedź jest prosta: robi się to za pieniądze moje i innych mieszkańców osiedla, karami jesteśmy zatem my, zaś bezkarni są urzędnicy, którzy wedle statutu spółdzielni administrują naszym wspólnym majątkiem. Na czym zaś to administrowanie polega, widzi każdy i każdy czuje na własnej kieszeni. Za to partactwo, za ich lenistwo, za to, że mają wygodne posadki i nich nie obchodzi — płacimy my wszyscy. Obserwując te dwuletnie i bezskuteczne zmagania kierownictwa spółdzielni z dziurami, uzmysłowiłem sobie dosłowny sens starego przysłowia, którego rodowód sięga XVI wieku: rzucić pieniądze w błoto. Tak — nasze pieniądze wyrzucane są w błoto przez tych, którzy mają nas za nic, którzy za nic mają także statut spółdzielni, którzy nic nie robią sobie ze swoich elementarnych obowiązków, za które pobierają co miesiąc nie najgorszą pensję.

Moi czytelnicy znają już mnie na tyle, iż wiedzą, że nie jestem malkontentem i nie piszę tylko po to, by sobie ponarzekać. Oto bowiem, proszę państwa, w kilku miastach znaleziono na to radę (m.in. w Warszawie i Białymstoku) i gdyby te metody zostały upowszechnione, to urzędnicy w spółdzielniach mieszkaniowych ostaliby się jeno ze swoimi biurkami, liczydłami i czajnikami do herbaty. Mianowicie mieszkańcy pewnego sporego bloku (87 mieszkań), zdenerwowani kolejną podwyżką czynszu (tym razem o ok. 80 procent), utworzyli społeczną komisję składającą się ze specjalistów od biurokracji i finansów, która to komisja postanowiła sprawę dogłębnie zbadać. Prezes spółdzielni oczywiście się sprzeciwił, ale — chwała Bogu —

autorzy spółdzielczych statutów nawet w najkoszmarniejszych smach nie przewidywali dzisiejszego „buntu mas” i takie komisje, kontrolujące finanse spółdzielni, a składające się z członków tejże spółdzielni, mogą działać najzupełniej legalnie.

Co ta komisja (działała się to w Warszawie) odkryła i policzyła? Najpierw, że spółdzielnia toleruje złe wykonawstwo i nie egzekwuje napraw gwarancyjnych, kosztu tychże przerzucając na mieszkańców. Po drugie, jak w przypadku opisanych wyżej dróg wewnętrznych, toleruje się także partactwo własnych ekip naprawczych. Po trzecie — z czynszów wygosparowuje się pieniądze na premie dla administracji. Po czwarte, i to była ta kropka przepełniająca kielich, zarząd spółdzielni zakupił kilka komputerów, po czym przyjął do pracy dodatkowo kilkanaście osób dla obsługi tychże. Tutaj już wylazła cała paranoja naszego sposobu gospodarowania. W normalnych krajach technika i automatyzacja powodują tanienie kosztów (podoczny komputer kosztuje tam już mniej, niż miesięczne uposażenie urzędnika), u nas — powoduje podrożenie tzw. kosztów ogólnych. A po piąte — rozdęty fundusz na utrzymanie całej maszyny biurowej: częste wymiany mebli, dywany i mnóstwo zbędnych etatów dla pańienek, których jedyna praca polegała na robieniu dobrego wrażenia. Niebanalnym odkryciem było także i to, że mieszkańcy tego bloku, wybudowanego piętnaście lat temu, byli obciążani kosztami partactwa na budowach bieżących i niedawno zakończonych. Toteż postanowili nie płacić za to wszystko i po kilkumiesięcznych bojach udało im się przejąć swój budynek we własne administrowanie.

Jak im to idzie i w jakiej mierze znalazły koszty utrzymania bloku w eksploatacji, napiszę za kilka miesięcy, gdy znane będą pierwsze podsumowania. W każdym razie szacunki wykazują, że czynsz wystarczył podnieść tylko o 28 procent, nie zaś o 80, jak postanowiła spółdzielnia biurokracja.

Czy jest to propozycja także dla innych spółdzielni? Sądzę, że tak. Jest wiele dowodów na to, że wielkie spółdzielnie mieszkaniowe przestały dawno reprezentować interesy swoich członków. Pora więc, byśmy o te interesy zatroszczyli się sami.

KTO JEST KIM W REGIONIE

BUGACEWICZ Wincenty. Lat 64. Zonaty. Żona Neonila. Troje dzieci: Tamara, Jelena, Andrzej. Protoszcz parafii prawosławnej w Białej Podlaskiej. Absolwent Chrześcijańskiej Akademii Teologii w Warszawie. Pracę duszpasterską prowadzi od trzydziestu lat; dwadzieścia pięć lat w Terespolu, pięć w Białej Podlaskiej.

Życie jak najuczciwiej miłując bliźniego, to jedyna szansa na pokonanie trudności i niebezpieczeństw doczesnej egzystencji.

KRZYŻANOWSKA Anna. Lat 41. Meżatka. Mąż Bogusław. Dwie córki: Monika i Olga. Absolwentka Wydziału Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1971—87 pracownik naukowy Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS. Współpracowała z Rozgłośnią Polskiego Radia w Lublinie jako recenzent lubelskiego życia muzycznego. Była prelegentem muzycznym Filharmonii Lubelskiej. Od trziesięciu lat prowadzi koncerty Towarzystwa Muzycznego w Lublinie. Pracuje w Krajowym Biurze Koncertowym w Warszawie, propagując muzykę w regionie i w kraju. Wyróżniona odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Uważa, że w życiu należy iść do przodu, nie oglądając się za siebie, a działaniom zawodowym musi towarzyszyć pasja. Bez pasji ludzka aktywność traci swój sens.

NATANEK Adam. Lat 55. Zonaty. Żona Danuta Damięcka — muzyk, śpiewaczka. Absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie. Od 1961 roku dyrygent Filharmonii Lubelskiej, a od 1966 — jej dyrektor naczelny i artystyczny. Wykładowca w UMCS na Wydziale Wychowania Artystycznego. Koncertował w całej Europie, a nawet na Karaibach. Stale współpracuje z Filharmonią w Valladolid w Hiszpanii (jako pierwszy gościnny dyrygent), z Filharmonią Narodową w Warszawie, z Filharmonią Krakowską. Dyrygował WOSPRiTV w Katowicach.

Życie jest zbyt cenne, by roztrwonić je na drobiazgi. Po zamknięciu drzwi instytucji, staje się osobą prywatną. Najlepiej czuje się w otoczeniu surowej przyrody. Spędzając średnio cztery miesiące roku w luksusowych hotelach, we fraku i pod krawatem, pozbycie się „oficjalnego stroju” stanowi dlań ulgę i daje poczucie swobody.

SEIDLER Grzegorz Leopold. Lat 76. Zonaty. Żona Alina. Studiował w Wiedniu i Oxfordzie, doktoryzował się na UJ. Brał udział w kampanii wrześniowej w armii generała Rómmla. W czasie okupacji, wykonując zawód księgowego, współpracował z konspiracyjnymi placówkami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po wojnie — wykładowca na UJ i w Akademii Handlowej w Krakowie. W 1951 roku przybył do Lublina i objął redakcję „Annales”. Profesor zwyczajny. W latach 1959—69 rektor UMCS. Od 1969 do 1971 — dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Londynie. Doktor h.c. UMCS, Akademii Ekonomicznej w Krakowie, profesor honorowy Europejskiego Fakultetu Nauk o Ziemi Uniwersytetu w Strassburgu; doktoratem honorowym obdarzył go ostatnio także uniwersytet w Lock Haven (USA). Kawaler Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski oraz Sztandaru Pracy I klasy. Poseł na Sejm PRL. Jego dorobek książkowy zamyka się trzytyśmioma liczbami publikacji, paralelnie — jak zauważa żartobliwie — do stopy naszej obecnej inflacji. Książki Profesora przetłumaczono na wiele języków.

„Życie jest dziełem natury, ale piękno życia jest darem mądrości. Każde zachowanie jednostkowe czy zbiorowe ma swój wymiar etyczny, a niedostrzeżenie tego pociąga tragiczne następstwa”.

POCZTA „RELACJI”

Zmieniające się na naszych oczach czasy skłoniły mnie do podzielenia się z wami swoimi refleksjami na temat osobistych odczuć, jakich doznaję czytając tygodnik „Relacje”, zarówno z uwagi na fakt, że to już nie wiosna Rosiewicza, lecz prawie POLSKIE LATO i cieszę się, że udział w tym ma również mój tygodnik, tygodnik naszego regionu, naszego miasta, tygodnik, który jest „dzieckiem” niezapomnianej „KAMENY”, a już także dojrzałym.

Mam 44 lata i córkę w wieku 14 lat, ale czytając i analizując wasze publikacje i polemiki czuję się młodzieńczo jak tygodnik „Relacje”. Czuję, że tego mi brakowało i przekonany jestem, że nie tylko mnie, ale i mojemu powojennemu pokoleniu, wychowanemu co prawda w okresie pokoju, ale i w okresie zakłamania [...].

Z głębi serca oświadczam, że czytając poszczególne artykuły na łamach „Relacji”, przypominają mi się słowa moich ukochanych i niezapomnianych nauczycielek od historii i języka polskiego z lat pięćdziesiątych (a uczęszczałem wówczas do Szkoły Podstawowej nr 22 przy ul. Bronowickiej, obecnie przedszkole). Umiały przekazać swoim uczniom wszystko co miały w głowie i w sercu. Chwała im po wsze czasy. Pani Złomaniec, pani Jaskiewicz (to wychowawcy, którzy mogą być wzorem dla wychowawców obecnej młodzieży).

Łamę waszego tygodnika ułatwia mi wychowanie swojego dziecka w duchu patriotyzmu i głębokich przemyśleń nad losami ukochanej ojczyzny i jej obrońców.

Kazimierz Bil
Lublin

[...] Jako działacz polskiej lewicy społecznej — Frontu Młodego Pokolenia Polski — rozpowszechniający Deklarację Praw Młodego Pokolenia Polski, której idee w wielu problemach są do dziś czytelne i aktualne — zdobywający wiedzę drogą samokształcenia poprzez czytelnictwo prasy postępowej i książek — chciałbym posia-

dać i pozostać stałym czytelnikiem Waszego Tygodnika, który pisze historię rzetelną, nową i prawdziwą Polskiej Rzeczypospolitej, jak np. Janusza Wrony pt. „Jaka Polska, jaka władza?” i wiele innych artykułów w każdym numerze „Relacji”.

Józef Markowski
Ksawerów
woj. łódzkie

W lutym — przez przypadek — trafiłem w kiosku jeden egzemplarz waszego tygodnika, o istnieniu którego wcześniej nie słyszałem. Po zapoznaniu się z jego treścią stwierdziłem, że jest to bardzo ciekawa gazeta i zorientowałem się, że ukazuje się od niedawna. W „stopce redakcyjnej” wyczytałem, że informacji na temat prenumeraty udzielają urzędy pocztowe. Rozumiem to, że i one przyjmują prenumeraty, podobnie jak na inne tytuły. Udałem się więc z wypełnionym blankietem, gdzie owszem, udzielono mi informacji, że prenumeraty na taki tytuł nie przyjmuje się, ponieważ nie jest on objęty „cennikiem”. Może więc Wy udzielicie mi informacji na temat prenumeraty „Relacji”?

Zbigniew Sosnowski
Dąbrowa Górnicza

OD REDAKCJI: Nie jest to jedyny list dotyczący możliwości zaprenumerowania naszego pisma. Według informacji, jakie uzyskaliśmy u naszego wydawcy — powinniśmy już „być w cenniku”. Wyczerpujący komunikat dotyczący warunków prenumeraty tygodnika „Relacje” zamieścimy wkrótce.

Czytelników, którzy napisali do nas w związku z artykułem dr. Janusza Wrony pt. „Stu z Lublina” informujemy, że całość korespondencji związanej z tą sprawą przekazujemy autorowi. Wrócimy do niej wkrótce w osobnej, obszernej publikacji.

(Red.)

W NUMERZE 17. OPUBLIKUJEMY:

ZAMACH MAJOWY ● PARTYZANT OD „SZARUGI” ● NOTATKI Z BOJU ● PROFESOR G. L. SEIDLER ● WOLNE CENY ● BYŁEM SPEKULANTEM ● ZAPISKI CHŁOPO-REPORTERA ● FELIETONY — LISTY — POLEMIKI